

Gjersoe Ann-Christin

Dziedzictwo II 19

Wir

Galeria postaci:

**Abelone Ladefoss** - wdowa po Eriku Ladefossie

**Aksel Gimle** - ojciec Abelone, właściciel Gimle

**Marie Gimle** - najmłodsza, siedmioletnia siostra Abelone

**Jorgen Gimle** - młodszy brat Abelone, dziedzic Gimle, niedługo skończy trzy lata

**Isak Gimle** - brat bliźniak Jorgena

**Mały Erik** - dziewięciomiesięczny syn Abelone

**Blanche Bjerkeley** - kuzynka Abelone

**Alf Bjerkeley** - mąż Blanche

**Helene Augusta** - dwuletnia córka Blanche i Alfa

**Ellen Bjerregaard** - siostra Abelone

**Ulrik Bjerregaard** - mąż Ellen

**Bera** - służąca w Gimle

**Hilmar** - parobek w Gimle

**Sofie** - pokojówka w Gimle

**Maline** - nowa służąca w Gimle

**Anders** - dawniej parobek w Gimle, wrócił po dwóch latach spędzonych na morzu

**Doktor Greni** - miejscowy lekarz

**Pastor Munthe** - nowy pastor

**Pani Agnes** - wdowa, bratowa i gospodyni pastora

**Greger Langaard** - zarządca Ladefoss

**Marinius** - były parobek w Ladefoss, zwolniony z pracy

**Profesor Calmeyer** - ordynator szpitala dla obłąkanych

**Panna Marstrand** - strażniczka w szpitalu dla obłąkanych

**Pani Lognvig** - strażniczka w szpitalu dla obłąkanych

**Aslak Sorensen** - mieszka w chatce drwala

**Signe** - gospodyni sierocińca

**Line** - siostra Signe, pracuje w sierocińcu

**Pernille** - niemowlę znalezione przez Blanche na schodach jej domu

**Anna Karoliusdatter** - służąca w sierocińcu, matka Pernille  
**Wdowa Lucie Archer** - matka nowego dziedzica Rosenkwe

*Gimle Gaard, 5 grudnia 1884 roku*

Abelone zasłoniła dłońmi uszy i zamknęła oczy. Czekwała wiedząc, że nie uda jej się stłumić dobiegających ją dźwięków.

Strzał zabrzmiał nagle i ostro. Huk odezwał się echem w jej głowie.

Drżąc, otworzyła oczy i spojrzała na drzwi stajni. Wybiegł z nich ojciec. Odrzucił strzelbę na bok, po czym pośpieszył przez dziedziniec, mijając ją i kierując się do domu.

Drzwi stajni zamknęły się, lecz po chwili znów się otworzyły. Wyszedł z nich Anders, ale

zatrzymał się, ręce zwisały mu po bokach, głowę miał pochyloną.

Abelone podbiegła do niego.

Anders pokręcił bez słowa głową. Z zawziętym wyrazem twarzy przeczesał dłonią włosy. Abelone spostrzegła plamy krwi na jego białej koszuli. W ciszy skierowała się do głównego budynku.

Obrzuciła wzrokiem wymalowane na ścianie słowo.  
*Dzieciobójczyni.*

*Kto to wszystko zrobił? Kto tak źle im życzył?*

W gardle wezbrał jej płacz. Plotki dotyczące jej samej mogła jeszcze znieść, ale *to?*

*Kto mógł zrobić coś takiego koniowi ojca?*

Aksel zatrzęsął drzwiami do gabinetu i wpatrywał się w lensmanna Austada. Gotował się ze złości. Najpierw ta okropność, która przydarzyła się Rimfakse, a teraz *to*. - Co też mówisz, len-

smannie? - zapytał, nie próbując nawet ukrywać zdenerwowania. Cieszył się, że jego córka nie usłyszała, co lensmann właśnie powiedział. Austad napotkał spojrzenie Aksela, przez chwile spoglądał na niego niepewnie. - Mówię prawdę, Akselu, sam słyszałem. Po wsi krążą plotki, że widziano Abelone w okolicy bagien wiosna przed jej ślubem, z zawiniątkiem na reku. Osoba, która ja obserwowała powiedziała, że upuściła zawiniątko do bagna i oddaliła się stamtąd biegiem.

- To stek kłamstw! - syknął Aksel. Nie potrzebowali w tej chwili kolejnych plotek o Abelone. Jego również doszły głosy niezyczliwych, że to Abelone jest matka znalezionego na bagnach dziecka, lecz podobne opowieści krążyły przez ostatnie pół roku w wielu kobietach ze wsi. Aksel podszedł do biurka, próbując pozbierać myśli. Wszystko było taki zagmatwane, a do tego przed oczami wciąż miał widok umierającego Rimfakse. Czy kon rozumiał, że kona? Chyba nie, bo Rimfakse był w końcu zwierze-

ciem, lecz kiedy uniósł strzelbę, koń tak błagająco spojrział na niego swoimi ciemnymi, błyszczącymi oczami. Aksel nie miał nigdy wcześniej tak mądrego wierzchowca i nigdy już drugiego takiego nie znajdzie. - To stek kłamstw - powtórzył ciszej, siadając ciężko.

Lensmann pogładził się po siwej, spiczastej brodzie i zmrużył oczy, spoglądając na Aksela.

- Musisz jednak przyznać, że to dziwne, Akselu  
- powiedział wolno. - Jeżeli osoba, która napisała to straszliwe słowo na ścianie, nie *wiedziała*, czego winna jest Abelone, dlaczego miałyby zrobić coś takiego z twoim koniem? Ktoś musiał ją znienawidzić. Sam wiesz, jak wstrząśnięci byli ludzie we wsi po znalezieniu na bagnach martwego noworodka. Nikt nie potrafi pojąć, jak ktoś mógł zrobić coś takiego małemu, bezbronnemu dziecku.

Aksel poczuł na nowo wzbierającą wściekłość. Lensmann *musiał* się mylić. - Myślę, że nie masz racji - usiłował mówić spokojnie.

Dlaczego ktoś chciałby poderżnąć mojemu koniowi gardło z powodu przypuszczeń, że Abelone może być matką dziecka z bagien?

Lensmann spojrział wprost na niego. Aksel rozpoznawał zdecydowany wyraz jego ust. Lensmann naprawdę *sadził*, że Abelone może być matką dziecka z bagien. - Jak już mówiłem, ktoś twierdzi, że widział Abelone koło bagna - powtórzył.

Aksel rozłożył ręce, nie potrafiąc już zachować spokoju. - W takim razie chcę wiedzieć, kim jest ta osoba!

Spojrzenie Austada uciekło w bok. - Obawiam się, że nie mogę powiedzieć...

- Tak, pewnie! - przerwał mu Aksel. - Nie wiesz, kto to, bo to tylko plotki!

Lensmann odetchnął głęboko, zawahał się. - Dlaczego ktoś chciałby zabić twojego konia, Akselu? - zapytał. - Jeżeli nie miało to związku z Abelone?

Aksel wstał i położył dłoń na wysokim oparciu krzesła. Wpatrywał się w zużyte skórzane



siedzenie, którego używał jego ojciec oraz *ojciec* jego ojca. - Nie wiem - odparł cicho, podnosząc wzrok. - Wiem jedynie, że ten ktoś nienawidzi *mnie*, a nie Abelone. *Nikt nie* podrzyna bez powodu gardła czyjegoś konia.

Abelone, sprząając stół po posiłku, zerknęła na ojca. Na ogół to on wstawał pierwszy, lecz teraz został przy stole aż do końca. Jedli dziś w nienaturalnej ciszy - ani ojciec, ani pozostali domownicy nie mówili wiele. Prawie cały czas Aksel wpatrywał się w swoją miskę i powoli przeżuwał.

Sama też nie miała apetytu. Od samego rana odczuwała mdłości i drżały jej dłonie.

Pojęła, o czym myślał lensmann, usłyszała fragment jego rozmowy z ojcem. Ktoś powiedział, że widział, jak to *ona* wrzuca dziecko do bagna.

Łzy napłynęły jej do oczu, musiała się odwrócić, aby nie zobaczyła tego Bera. Dlaczego ludzie tak źle o niej mówili? To tylko kłamstwa! A teraz lensmann sądził, że ktoś wyrządził tę okropną krzywdę Rimfakse, aby się na niej zemścić.

Przesunęła dłonią po policzku. Nie mogła przestać myśleć o koniu. Kto mógł dopuścić się tak okrutnego czynu? Nawet jeśli ktoś przypuszczał, że to ona jest matką dziecka z bagien, dlaczego miałyby mścić się na Rimfakse? Nie potrafiła doszukać się w tym sensu.

Spojrzała na dziedziniec. Parobkowie oporządzali pozostałe konie, uwiązali je przy budynku nowej stodoły, by móc posprzątać w ich boksach. Ojciec opowiedział, że zwierzęta były przerażone, zawsze bały się zapachu krwi.

Przeczesała palcami włosy. Ani ojciec, ani żaden z pozostałych mieszkańców Gimle nie miał pojęcia, kto skrzywdził Rimfakse. Jedynie konie wiedziały, co tamtego ranka wydarzyło się w stajni.

- Abelone? - Bera podeszła i stanęła obok, kładąc dłoń na jej ramieniu. Spojrzenie starszej kobiety, zawsze tak przyjazne i radosne, teraz przyćmiewał smutek. - Płaczesz? - zapytała Bera cicho.

Abelone pokręciła prędko głową, próbując się uśmiechnąć. - Ależ nie. Jestem tylko zmęczona.

Nie potrafiła spojrzeć Berze w oczy. Obie wiedziały, że nie mówi prawdy.

Bera wyjrzała przez okno. - Bóg jeden wie, co za człowiek mógł coś takiego zrobić - szepnęła.

Abelone podążyła za jej wzrokiem. Sofie i dziewczka od krów szły przez dziedziniec, niosąc wodę. Wiedziała, po co - trzeba było wyczyścić ścianę. Nikt nic nie powiedział, ale wiedziała, że słowo napisano krwią. Krwią Rimfakse.

- Co to za pies? - zapytała Bera, pokazując palcem.

Abelone wyciągnęła szyję, próbując dostrzec czarnobiałego psa, drepczącego koło stajni. Nos miał utkwiony w ziemi, jak gdyby tropił ślad.

- To pies Aslaka Sorensena - powiedziała Abelone powoli. Ojciec powiedział jej, że jego spotkanie z drwalem poprzedniego wieczoru nie należało do najprzyjemniejszych. O mało się nie pobili.

Usłyszała szurnięcie krzesła i po chwili podszedł do niej ojciec. Wpatrywał się w psa. - Masz rację. To kundel Sorensena.

Abelone zerknęła na ojca. Widziała, jak ściągnął pobielające usta, co czynił zawsze, gdy się złościł.

- Pewnie on to zrobił - syknął przez zęby.

- Co masz na myśli?

Odwrócił się do niej, w jego oczach płonął ogień. - Sorensen. Tylko on mógł na coś takiego wpaść. Wściekł się po mojej i Andersa rozmowie z nim.

Abelone wiedziała, że ojciec jest pewien, że to Sorensen zastawiał sidła w lesie Gimle.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych, a po chwili ich oczom ukazał się Anders. W wyciągniętej dłoni trzymał nóż.

- Hilmar znalazł to w stajni - wyjaśnił. - Pod sianem, blisko miejsca, gdzie leżał Rimfakse.

Ojciec chwycił nóż i uniósł go, by się mu przyjrzeć. - Na rękojeści wyryte są inicjały.

Anders skinął głową. - Nie widać wyraźnie, bo rękojeść jest zużyta, ale wydaje mi się, że to litery M i S.

Ojciec podszedł do kuchennego okna i uniósł nóż do światła. Zmrużył oczy.

- Równie dobrze może to być A i S - stwierdził, po czym oddał nóż Abelone. - Co o tym sądzisz?

Abelone pozwoliła, by światło padło na rękojeść. Nie była pewna. Pierwszą literą mogło być M, tak jak powiedział Anders, ale jej końcowa część była niemal całkiem zatarta. Może to A, jak chciał ojciec. Nietrudno było pojąć, że zdaniem Aksela nóż musiał należeć do Aslaka Sorensena.

Oddała nóż ojcu. - Nie wiem - odparła zgodnie z prawdą. - Ale ta druga litera to S.

Ojciec wyrzął znów na dziedziniec. - Pies zniknął - powiedział ponuro, spoglądając na Andersa. - Też go widziałeś?

- Tak, ale uciekł, kiedy przepędził go Hilmar.

Ojciec pogładził usta. - Chyba złożę Aslakowi Sorensenowi kolejną wizytę. Pies nie ma tu w każdym razie czego szukać.

Abelone spojrziała na ojca. Był blady, ale jego ciemne oczy błyszczały. Wiedziała, że zrobi wszystko, by dowiedzieć się, kto zabił Rimfakse.

Po chwili ojciec i Anders wyszli, a Abelone patrzyła, jak konno opuszczają dziedziniec. Ojciec jechał na Sohbrose, a Anders na jednym z młodych koni.

Nie podobało jej się to. Sofie opowiadała jej o plotkach mówiących, że Sorensen został skazany za zabójstwo w Szwecji, lecz jak to możliwe, że przebywa na wolności? Może uciekł?

Może przypuszczenia ojca były słuszne.

Blanche odstawiła torbę na kuchenną ladę i wyjęła z niej plik banknotów - trzy tysiące koron.

- Nie mogę uwierzyć, że odzyskaliśmy te pieniądze - powiedziała, opadając na krzesło. Wcześniej otrzymali list, w którym szantażysta żądał zapłaty grożąc, że w przeciwnym wypadku zdradzi, jak zmarł Oskar. Blanche była przekonana, że stał za tym ktoś z loży, ale po tym, co wydarzyło się poprzedniego dnia na balu maskowym, nie była już tego taka pewna.

Alf skinął głową. - I nie wiesz, kim była kobieta, która zaciągnęła cię do buduaru?

Blanche potrząsnęła głową. Podczas balu widziała ją tylko raz - gdy poprosiła ją, by poszła z nią na piętro pod pretekstem pomocy źle się czującej ciężarnej pani Aaroe. Gdy z wybiciem północy zdjęto maski, miała nadzieję ponownie zobaczyć tę kobietę, lecz nigdzie nie było jej widać. Później okazało się, że pani Aaroe wcale źle się nie czuła, a jedynie wyszła do toalety.

- Myślisz, że to ta kobieta przysłała nam listy? - zapytał Alf w zamyśleniu.

- Nie wiem. Blanche spojrzała na Alfa. - Ale dlaczego miałyby najpierw żądać od nas pieniędzy, by potem je oddać? Nie wierzyła, że to właśnie ta kobieta zamieniła torby na stacji. Początkowo Alf i Anders sądzili, że szantażysta nie zabrał torby z pieniędzmi, dopiero później oszustwo wyszło na jaw.

Teraz zaś Blanche miała zarówno pieniądze, torbę, jak i naszyjnik Helene Augusty, który wcześniej skradziono z jej szkatułki na biżuterię.

- Pamiętasz, co było napisane na kartce, któ-



ra znalazłam w pudełku na biżuterię Helene Augusty? - zapytała.

Alf skinął głową. *„Gdybyś nawet oddała mi całe swoje bogactwo, nie byłoby mi dość, Blanche!”*

Bezwiednie zadrżała, słysząc znajome słowa. - To dlatego oddała nam pieniądze? Aby pokazać nam, że to nie na nich jej zależy?

Alf podrapał się po czole. - Nie rozumiem tego. Wzruszył ramionami. - Kto oddałby nam trzy tysiące koron, starając się wcześniej tak bardzo, by je zdobyć?

Blanche również tego nie pojmowała. Miała wrażenie, że jakby została wciągnięta w wir wydarzeń oplatających ją jak jakieś macki.

Alf potrząsnął głową. - To *na pewno* nie ona zabrała torbę na stacji. - Ten, kto to zrobił, nigdy nie oddałby nam pieniędzy.

Blanche zerknęła na torbę. Wcześniej o tym nie pomyślała, ale czarna welwetowa torba była elegancką torbą kobiecą. Na pewno nie nosiłby

jej żaden mężczyzna. Poza tym zwróciła uwagę, że kobieta na balu maskowym miała na sobie chustę zdobioną małymi czterolistnymi koniczynkami. Może to przypadek, ale listy, które dostali, były opatrzone znakiem czterolistnej koniczyny i napisem *La quatrième feuille*, co zdaniem dyrektora banku Schmidta po francusku znaczyło *Czwarty liść*. Powiedział też, że trzylistna koniczyna reprezentuje Świętą Trójcę, a czwarty liść oznacza diabła.

- Musi zatem być bogata, skoro nie chciała zatrzymać pieniędzy - stwierdziła Blanche.

Alf skinął głową. - Masz rację. Spojrzał w zamyśleniu przed siebie. - A może wiedziała, że pieniądze zabrano nam podstępem i oddała je, by naprawić niesprawiedliwość?

Blanche parsknęła. - W takim razie mogła zrobić to w przyjaźniejszy sposób. Przecież ta kobieta dość brutalnie wepchnęła ją do buduaru.

Alf westchnął i potrząsnął głową. - Nic z tego

nie pojmuję. Wstał, podszedł do niej i pogładził ją pocieszająco po plecach. - Miejmy nadzieję, że na tym się skończy i zostawi nas teraz w spokoju.

Blanche oparła się o niego.

Miała nadzieję, że tak będzie, lecz ogarniały ją wątpliwości. Czuła, że osoba, która napisała listy i żądała od niej pieniędzy, coś chciała jej zrobić.

Nie mogła tylko zrozumieć, *co*.

Ellen przestawiła krzesło bliżej okna, aby móc objąć wzrokiem większą część ogrodu.

Nigdy nie przypuszczała, że można aż tak tęsknić za wyjściem na świeże powietrze, chociaż od jej ostatniego spaceru po ogrodzie z panną Marstrand minęły zaledwie dwa dni.

Zerknęła na niebo, białe płatki sypały się z gęstych, nacierających na siebie szarych chmur. Drzewa i pola przykrywał śnieg, jedynie gdzieś tam tylko prześwitywało żółto ściernisko, które odsłonił wiatr. Niemal słysząc było panującą na zewnątrz ciszę. Zawsze działało się

tak wraz nadejściem śniegu - milkły wszelkie głosy.

Wyciągnęła szyję i spojrzała na gospodarstwo położone trochę na zachód od szpitala. Było tam tak ładnie. Ciemne belki ścian z muru pruskiego przywodziły jej na myśl duńskie gospodarstwa. Takich budynków nie spotyka się często w Norwegii.

Widziała młodego mężczyznę prowadzącego wóz przez dziedziniec, biegnącą przodem małą dziewczynkę widziała wcześniej. Z chlewu wypędzano świnię. Może planują ubój? W Gimle świniobicie było zawsze zaraz po nowiu, przy rosnącym księżycu, żeby nie uciekł tłuszcz, jak mawiała Bera.

Westchnęła bezgłośnie. Na oddziale A wszyscy codziennie wychodzili na spacer, lecz tutaj tak nie było. Poza tym bardzo niewiele się działo. Może powinna zapoznać się z innymi pacjentkami, ale było ich tak wiele, do tego niektóre ją przerażały.

Zerknęła na siedzącą najbliżej. Ciemnowłosa, potężna kobieta o krzaczastych brwiach tak jak Ellen lubiła wyglądać przez okno. Wydawało się, że uznała to miejsce przy oknie za swoje, ponieważ rozdrażniło ją, kiedy poprzedniego popołudnia jedna z młodszych pacjentek usiadła tam po którymś posiłku. Ellen zwróciła też uwagę, że kobieta w ogóle się nie odzywa.

Teraz jednak musiała zauważyć, że Ellen na nią patrzy, bo utkwiała w niej wzrok. Ellen odwróciła czym prędzej spojrzenie. Widziała już, jak potrafi być zła, więc wołała raczej z nią nie zadzierać.

Rozejrzała się po wielkiej sali. Z czasem zrozumiała, że pomieszczenie pełni funkcję bawialni, ale nie był to szczególnie przyjemny salon. Na szczęście był duży, dzięki czemu mogła znaleźć miejsce dla siebie i być w nim sama.

Rozmowa prowadzona przy jednym ze stolików ożywiła się. Ellen zauważyła, że dwie kłócące się z sobą kobiety często się sprzeczały. Nagle

wstały i nim Ellen zdążyła się zorientować, jedna doskoczyła do drugiej.

Nigdy wcześniej nie widziała bójki kobiet, a te dwie pacjentki nie szczędziły sobie razów ani wyzwisk. Na szczęście po chwili nadeszli dwaj strażnicy, którzy rozdzielili kobiety.

Wyjrzała znów za okno, pozwalając spłynąć łzom. Mimo najlepszych chęci nie potrafiła pojąć, co *ona* tu robi. Przecież nie jest taka, jak pozostałe pacjentki? Wiele z nich nie dbało nawet o toaletę, ubrania i włosy miały stale w nieładzie. Jednocześnie wiedziała, że szpital składa się z wielu oddziałów. Ponury lekarz z jej poprzedniego oddziału wspominał nawet raz o celach, udało jej się też podsłuchać co nieco z rozmów strażniczek. Na tej podstawie zrozumiała, że ten oddział przeznaczony jest dla spokojniejszych pacjentek.

A więc jak było na innych?

Myślami powróciła do pani Berner, delikatnej, miłej kobiety, z którą dzieliła pokój i która

w tak okrutny sposób skończyła ze sobą. Powiedziała Ellen, że ma uważać, by nie dać lekarzom powodu do przeniesienia jej na inny oddział, a niedługo potem wydarzyło się właśnie to.

Ellen prędko rozejrzała się wokół, ale nikt jej nie obserwował. Ostrożnie wsadziła dłoń do kieszeni sukni i wyjęła złożoną kartkę. Gdy ją rozkładała, starała się nie myśleć, czym są widniejące na niej czerwonobrazowe plamy.

Słowa zapisano ciasno, lecz nietrudno było je odczytać.

*idę do ciebie jestem twoją niebiańską panną młodą*

Ścisnęła kartkę. Śniły jej się wydarzenia ostatniej nocy. Słyszała własny krzyk, a wtedy wyrwano ją ze snu i zrozumiała, że to nie jawa. Podbiegła do niej jedna ze strażniczek, lecz nie okazała jej zbyt wiele wyrozumiałości. Próbowała jedy-



nie podać jej chloral i zdenerwowała się, tak jak i druga strażniczka, gdy Ellen odmówiła.

Włożyła wiersz z powrotem do kieszeni, nie chcąc ryzykować, że zobaczy to któraś ze strażniczek.

Jakim człowiekiem była pani Berner? Żaden lekarz ani strażniczka nie mówili o niej zbyt wiele. Nic nie wiedziała o kobiecie, która wykrwawiła się na śmierć w jej ramionach, lecz ten wiersz, jej ostatnie słowa, poruszał jej serce.

*w mojej piersi zaśpiewał słowik  
odchodzę od zmysłów  
że nie mogę być blisko ciebie  
a moje serce ucichło już  
nadeszła nasza noc, nasza serenada*

Wydawało jej się, że musiała kochać mężczyznę, którego nie mogła zdobyć. Czy tak mocno tęskniła za swoim ukochanym, że wybrała śmierć? Pani Berner musiała w takim razie

być mężatką? Gdyby tak nie było, mówiono by o niej „panna” albo „wdowa”.

Wyciągnęła szyję, by znów spojrzeć na gospodarstwo. Widziała ubitą świnię, która leżała teraz na sankach.

Odwróciła wzrok, kiedy spuszczano z niej krew, musiała położyć dłoń na piersi. Ścisnęło ją w gardle, zaczęła szybciej oddychać.

*Krew.* Nigdy nie potrafiła znieść jej widoku, choć w domu ubój zdarzał się tak często.

*Nie myśl o tym, co się stało, Ellen. Pomyśl o czymś innym. Pomyśl o lecie, o nagranych skałach, zapachu morza. Pomyśl o krzyku mew, o różach w ogrodzie w Gimle.*

*O domu. Chcę do domu.*

Ulrik złożył list od przyjaciela z czasów swojej pracy na uniwersytecie kopenhaskim. Ciekawa była jego opowieść o długiej podróży przez Ocean Indyjski i życiu na Madagaskarze. Wyspa obfitowała najwyraźniej we florę i faunę, a przyjaciel zdążył już odkryć kilka nieznanymi gatunków motyli, jak również rzadką białą orchideę, która jego zdaniem powinna zdobyć popularność wśród wielu zapalonych kolekcjonerów rodzaju *Orchidaceae*. Te piękne kwiaty szczególnie pożądane były w Anglii, gdzie osiągały na aukcjach wysokie ceny. Samego Ulrika bardziej zainteresowały

wspomniane przez przyjaciela motyle. Uważał on, że marzeniem każdego przyrodnika jest odkrycie nieznanego wcześniej gatunku, a z opowieści wynikało, że na Madagaskarze musi się wręcz roić od rzadkich okazów.

Wstał z fotela i podszedł do wykuszowego okna, przez które mógł wyjrzeć na ogród. W Danii rzadko zdarzało się, by padało tyle śniegu, co teraz. Przez ostatnie dni padał tak gęsty śnieg, że niemal całkiem przykrył ozdobne krzewy w ogrodzie. Aby dojść do ogrodowej bramy, musiał odśnieżyć drogę i ta ciężka praca przyprawiła go o ból pleców.

Obserwował ulicę. Czekał właśnie na przybycie Johanna, przyjaciela, od którego kupił dom. Johannes dorastał w nim, ale po śmierci matki postanowił go sprzedać. Sam mieszkał teraz w Bergen, ale że odwiedzał właśnie w stolicy rodzinę żony, obaj uznali, że będzie to dobra okazja do spotkania.

Ulrik znów usiadł, próbując bezskutecznie

skupić się na książce, którą czytał. *Ellen*. Jest w szpitalu już od ponad dwóch tygodni, a jeszcze ani razu nie udało mu się z nią porozmawiać. Profesor Calmeyer zapewniał go, że Ellen jest w dobrych rękach, ale Ulrik tak bardzo pragnął rozmowy z nią. Jak się miewa? Czy dobrze zrobiło jej opuszczenie domu po utracie dziecka?

Potarł twarz dłońmi i zamknął książkę. Wiedział, że Ellen boi się, że jest jedną z tych kobiet, które nie są w stanie donosić dziecka. Już dwa razy poroniła, więc rozumiał jej obawy. Jednocześnie wiedział, że miała nadzieję prędko ponownie zajść w ciążę, co jednak się nie stało.

Jak długo musi pozostać w szpitalu? Profesor mówił, że odkąd tam jest, nie miała halucynacji, więc miał nadzieję na jej szybki powrót do domu. Jutro znów porozmawia z profesorem Calmeyerem, musi uzyskać jakieś wyjaśnienia.

Rozparł się wygodniej na krześle. To było nie do zniesienia nie móc z nią porozmawiać

i nie wiedzieć, kiedy wróci. Przecież jej rekonwalescencja nie może trwać tak długo, no i tak bardzo za nią tęsknił. Tak smutno było wracać z pracy do pustego domu.

Aż uśmiechnął się do siebie na myśl o obiadach, które gotowała dla niego Ellen. Zdawał sobie sprawę, że na początku nie było jej łatwo, ale dawała z siebie wszystko i po pewnym czasie doszła do wprawy.

Pod nieobecność Ellen, obiady codziennie przygotowywała Betsy, ale to nie to samo - chociaż przygotowywała najznakomitsze potrawy.

Nagle zabrzmiał dzwonek i Ulrik usłyszał, że Betsy idzie do drzwi, by otworzyć. Nie czekał, aż służąca zgłosi mu przybycie Johannesesa, lecz wyszedł do przedsionka, by samemu go przyjąć.

- Jesteś, stary przyjacielu! Serdecznie uścisnęli sobie ręce i pokleпали się po ramionach. Johannes był dla Ulrika jednym z najlepszych przyjaciół, chociaż tak rzadko się widywali. Mieszkali w końcu z dala od siebie, ale często pisywali li-

sty. Poza tym tak to już jest z dobrymi przyjaciółmi - nie ma znaczenia, jak często się widują, prawdziwej przyjaźni czas jest niestraszny.

Ulrik wskazał Johannesowi drogę do salonu, gdzie przyjaciel zaczął się rozglądać. - Dom jest niemal nie do poznania - powiedział z podziwem w głosie.

Ulrik skinął głową i oprowadził Johanna. Miał rację - w środku dom wyglądał zupełnie inaczej niż w czasach, gdy mieszkała w nim jego matka. Może dziwnym uczuciem było dla niego widzieć zmiany? W końcu tu dorastał.

W końcu usiedli do posiłku. Betsy przygotowała stek cielęcy w pysznym sosie śmietanowym, który Ulrik tak bardzo lubił. Rozmowa toczyła się gładko, Johannes miał wiele do powiedzenia o swoim życiu w Bergen, o pracy i rodzinie. Po raz pierwszy od dłuższego czasu Ulrik odpoczął, dobrze czuł się, rozmawiając z przyjacielem. Co prawda zapraszano go na obiady, ale najczęściej brało w nich udział

tyle osób, że trudno było normalnie podyskutować.

Częstowali się chętnie czerwonym winem, opowiadając sobie o pracy. Johannes był botanikiem, więc Ulrik skorzystał z okazji, by wspomnieć o swoim przyjacielu z Madagaskaru.

Johannes zaśmiał się, kiedy Ulrik powiedział mu o domku, który przyjaciel zbudował w dżungli. Warunki panowały tam iście spartańskie. -Rozumiem, że twój przyjaciel jest kawalerem -stwierdził Johannes. - Żadna kobieta nie chciałaby mieszkać w takim miejscu. A w każdym razie nie *moja* żona - dodał chichocząc i popijając wino. - Obawiam się, że małym dziewczynkom też by się tam raczej nie spodobało.

Ulrik odstawił kieliszek z winem i oparł się wygodniej. Zjadł trzy porcje steku, ale czuł, że powinien był poprzestać na dwóch. - Prawdę mówiąc podejrzewam, że mój przyjaciel znalazł sobie kobietę wśród tubylców - powiedział w zamyśleniu.



Johannes spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami. - No proszę! Myślisz, że się z nią ożeni?

Ulrik zastanowił się nad tym. - Zapewne. Tymczasem myślę, że teraz najbardziej zajęty jest pracą.

Johannes mrugnął. - Jak podoba się Ellen w Kristianii?

Ulrik odetchnął głęboko. Celowo unikał tego tematu. W listach, które pisał do Johannaesa przed jego przyjazdem, wspomniał jedynie, że Ellen nie będzie w domu podczas jego odwiedzin.

Wytarł usta, a Betsy prawie niepostrzeżenie sprzątnęła ze stołu. Czy powinien powiedzieć Johannesowi jak wygląda sytuacja?

Dolał przyjacielowi i sobie wina. Już zaczęło szumieć mu w głowie, ale było to wspaniałe uczucie. Jednocześnie zauważył, że ma coraz więcej wątpliwości w związku z tym, co stało się z Ellen.

Nagle poczuł, że to zbyt wiele dla niego. Oparł łokcie o stół i przesunął dłońmi po twarzy. - Ellen jest w szpitalu dla obłąkanych - wymamrotał.

Dziwnie dobrze czuł się, powiedziawszy te słowa. Nikt spośród jego znajomych nie wiedział, co dzieje się z Ellen. Kolegów z muzeum okłamał nawet, mówiąc, że wyjechała w jakiejś sprawie do Gimle. Coś musiał powiedzieć, kiedy o nią pytali.

Zerknął na Johannes, który sprawiał wrażenie całkiem oszołomionego. - W szpitalu? - zapytał zdziwiony, po czym opróżnił swój kieliszek.

Ulrik skinął głową i zaczął opowieść o tym, jak do tego doszło. O dziecku, które stracili, o ubraniach rozrzuconych jej zdaniem po pokoju dziecięcym, o dziewczynce, którą widziała i słyszała. Celowo nie wspomniał, że dziewczynką musiała być, według Ellen, Emily, siostrzyczka Johannes, która zginęła w pożarze na rok przed jego narodzinami.

Skończywszy mówić czekał, aż Johannes coś powie, ale przyjaciel siedział wpatrując się w stół i przesuwając palcami po podstawie kieliszka.

Ulrik poruszył się. Może nie powinien był mówić mu tego? W końcu w tym domu mieszkała jego matka. - Johannesie, przepraszam, nie powinienem... - chciał się usprawiedliwić, ale Johannes przerwał mu ruchem ręki.

- To samo mówiła matka - odezwał się, spoglądając na Ulrika.  
- Pamiętasz, jak opowiadałem ci o dwóch siostrach, które przez krótki czas wynajmowały dom, zanim go kupiliście? Nie rozumiałem, dlaczego tak śpieszyło im się z przeprowadzką, ale później dowiedziałem się, że one również doświadczyły czegoś przerażającego.

Ulrik wpatrywał się w przyjaciela. - Twoja matka? Ona też wspominała, że widziała i słyszała tę dziewczynkę?

Johannes skinął głową. - Może powinienem był ci to powiedzieć, ale wiesz, matka... - Johannes zamilkł na chwilę. - Ojciec zawsze po-

wtarzał, że matka nie mogła sobie wybaczyć, że moja siostra zginęła w pożarze domu.

Johannes opowiedział mu o śmierci siostry. Dom, który pierwotnie stał w tym samym miejscu, doszczętnie się spalił. Rodzice Johannesesa wyszli z pożaru cało, ale nie zdołali uratować swojej córeczki.

Postanowił nie mówić Ellen o pożarze ani o zmarłym dziecku, nie chcąc jej niepokoić. Powiedzieli jej o tym jednak sąsiedzi, co, jego zdaniem, jeszcze nasiliło halucynacje. Po rozmowie z panem Skagen i jego córkami Ellen była przekonana, że dziewczynka, którą widziała i słyszała, musiała być zmarłym w pożarze dzieckiem.

Ulrik spojrział na niego z ukosa. - Twoja matka sądziła, że jej córka... - nie wiedział, jak ma to określić.

Johannes skinął wolno głową. - Tak, mówiła, że Emily jest zła na nią za to, że nie uratowała jej z płomieni. Na *chwilę* zamilkł. - Ja sam, kiedy byłem mały, dwa razy widziałem Emily.

Ulrik wpatrywał się w niego. Co takiego powiedział jego przyjaciel? Czy on także widział dziewczynkę, którą uważał za swoją siostrę? Wypił łyk wina. - Skąd masz pewność, że to była ona?

Johannes się zawahał. - Przedstawiła się jako Emily.

Ulrik czekał, aż przyjaciel podejmie opowieść.

Johannes przechylił się w tył na krześle. -Pierwszy raz widziałem ją pewnego wiosennego dnia, gdy bawiłem się w ogrodzie. Musiałem mieć wtedy cztery-pięć lat, ale pamiętam, że nie rozumiałem, skąd wzięła się dziewczynka. Kiedy zapytałem ją o imię, uśmiechnęła się i powiedziała: Emily. Chyba nie pojmowałem, że to moja siostra.

Ulrik wpatrywał się w Johannaesa. Przyjaciel mówił o swojej siostrze, jakby nadal żyła.

- Bawiliśmy się razem w ogrodzie, pamiętam, że nazrywała bukiet przylaszczek i dała mi go.

Wtedy nagle zniknęła, ale gdy zapytałem matkę, kim była dziewczynka, odpowiedziała mi, że w ogrodzie byłem sam - Johannes uśmiechnął się i znów napił się wina. - Dałem matce bukiet przyłasczek mówiąc, że to dziewczynka je nazbierała. Wtedy matka spytała o imię dziewczynki - pokręcił głową, a jego twarz posmutniała. - Nie rozumiałem, dlaczego matka wybuchnęła płaczem, dopiero ojciec wytłumaczył mi, że pomyślała o mojej siostrze, która nosiła to samo imię - Johannes spojrzał na niego poważnie. - Ojciec nigdy nie rozumiał matki, jego zdaniem tak bardzo tęskniła za córką, że wmawiała sobie, że ją widzi.

Jego słowa ugodziły Ulrika prosto w serce. To samo myślał o Ellen - że wyobraża sobie dziewczynkę, ponieważ sama straciła dwoje dzieci.

W tej samej chwili weszła Betsy z deserem, lecz Ulrik dał jej znak, że go jeszcze nie chcą. -A więc myślisz, że matka czasem widywała twoją siostrę?

Johannes spojrzał prosto na niego i skinął głową, spojrzenie miał nieobecne. - Tak jak i ja. Ostatni raz widziałem ją letniego wieczoru, gdy wspinałem się na jabłonie w ogrodzie. Uwielbiałem się wspinać, ale musiałem być dość nierozważny, bo wszedłem zbyt wysoko. Puściłem gałąź i spadłem na ziemię. Siedział wpatrzony przed siebie. - Kiedy odzyskałem przytomność, siedziała koło mnie, cały czas ją pamiętam. Miała na sobie białą, cienką sukienkę, a włosy opadały jej na ramiona. W jednej ręce trzymała lalkę, a drugą głaskała mnie po policzku. Nadal przypominam sobie jej głos, wypowiadający moje imię. Wydawała się taka przestraszona, ale wtedy przybiegła matka i Emily zniknęła.

Ulrik nie wiedział, co ma myśleć. Johannes był naukowcem, tak jak on, a jednak opowiadał o tym spotkaniu, jakby naprawdę się wydarzyło.

Przypatrywał się badawczo koledze. Miał otwarty i szczery wyraz twarzy i Ulrik nie wą-

pił, że Johannes sam wierzy w swoje słowa. To stało się jednak tak dawno, może pamięć przyjaciela szwankuje? Znów opróżnił swój kieliszek, j A może to *on* się pomylił? Czy powinien zaufać Ellen, swojej żonie? Ellen była praktyczną, spokojną kobietą, a nie histeryczką, której trzeba podawać sole trzeźwiące z powodu częstych omdleń.

i Jego myśli stały się niewyraźne, górę zaczęły brać uczucia.

I Czy źle osądził Ellen? Czyżby jego własne I przekonanie o tym, że zna jedyne rozsądne wyjaśnienie, nie pozwoliło mu choćby rozważyć, na ile jej opowieści mogły być prawdziwe?

Zauważył, że traci ostrość widzenia, choć tym razem nie z powodu wina.

- Ulriku? - Johannes popatrzył na niego zmartwiony. - Źle się czujesz?

Ulrik odwrócił wzrok w stronę kolegi. - Nawet nie chciałem jej słuchać.



Nagle poczuł, że nie może znieść myśli o Ellen przebywającej w szpitalu.

Również dlatego, że to profesor Calmeyer miał zdecydować, kiedy jego żona wróci do domu.

- Abelone? - w kuchni pojawiła się Sofie.

Abelone odwróciła się do służącej. Od rana w domu panowała ciężka atmosfera. Nikt za bardzo się nie odzywał, również dzieci były tego dnia niezwykle spokojne. Sądziła, że każdy zajęty jest swoimi myślami, poza tym ojciec i Anders nie wrócili jeszcze od Aslaka Sorensena. Dlaczego tak długo to trwało? Nie mogła nic na to poradzić, niepokoiła się na samą myśl o tym, że znów może dojść do rękoczynów między ojcem a mieszkańcem chatki drwala. Na szczęście był tam też Anders.

- O co chodzi, Sofie? - zapytała Abelone spostrzegłszy, że rudowłosa dziewczyna przygląda się jej. Może ona również zastanawiała się, czy krążące o niej plotki *mogą* być prawdziwe?

- Chodzi o Marie - wyjaśniła Sofie, spoglądając przez ramię do salonu. - Mówi, że źle się czuje.

Abelone odłożyła czerpak, wytarła ręce i pośpieszyła do salonu. Siostrzyczka leżała na brzuchu, z poduszką pod sobą. Policzki miała lekko zaczerwienione, a oczy błyszczące.

Ścisnęło ją w piersi. Tak się bali, że Maline mogła zarazić ich odra. Kiedy po raz pierwszy odra pojawiła się we wsi, zachorowało wiele osób, lecz sądzili, że udało im się uniknąć tej przerażającej choroby. Z ostatnich wieści z domostwa wyrobników wynikało, że Maline i matka mają się lepiej, również starsze dzieci zdrowiały, ale niemowlę było cały czas poważnie chore. Doktor Greni powiedział, że w wyniku powikłań po odrze mały nabawił się niebezpiecznego zapalenia mózgu.

Abelone podeszła prędko do kanapy i usiadła obok siostry. Przyglądała jej się badawczo. Nietrudno było stwierdzić, że dziewczynka jest chora. Przez ostatnie dni była, co prawda, po-dziębiona, ale nie dolegało jej nic poważnego.

- Źle się czujesz? - zapytała Abelone, odgarniając z jej czoła jasne włosy. Skórę miała spoconą.

Marie potrząsnęła w milczeniu głową.

Abelone wciągnęła bezgłośnie powietrze. -Dasz radę usiąść? Żebym mogła cię obejrzeć.

Siostra powoli usiadła. Abelone przyjrzała się jej twarzy i szyi, ale nie dostrzegła nigdzie czerwonej wysypki.

- Muszę spojrzeć też na twój brzuch i plecy -poprosiła. Starła się mówić spokojnie, jednocześnie się uśmiechając. Nie było powodu, by niepokoić siostrzyczkę, jeżeli to zwykłe przeziębienie. Marie była już na tyle duża, by pojąć, że Maline i jej rodzeństwo mieli odrę i że ta choroba może w ciężkich przypadkach prowadzić do śmierci.

Nie widziała wysypki, ale przypomniała sobie, jak doktor Greni mówił, że w ustach osoby, która ma wkrótce zachorować, można zauważyć białe plamki.

Abelone uśmiechnęła się zachęcająco do Marie. - Na koniec muszę zajrzeć ci do buzi. Możesz ją dla mnie otworzyć?

Marie przechyliła głowę w tył i szeroko otworzyła usta.

Od razu je zobaczyła. Białe plamki. Po wewnętrznej *strome* policzków.

Czuła, jakby jej ciało całkiem zastygło, jak gdyby zeszywniała.

Odra. Marie miała odrę.

\*

Ojciec i Anders weszli do kuchni, wyraźnie wzburzeni. Rozmawiali ze sobą głośno, a ojciec nie zjął nawet czapki, gdy zasiadał do stołu.

- Bóg jeden wie, kim właściwie jest ten człowiek.

Anders prychnął i usiadł. - Moim zdaniem to dziwne. Ktoś musi przecież wiedzieć, kim on jest.

Abelone popatrzyła na nich. - Kto?

- Aslak Serensen! - ojciec niemal wypluł z siebie te słowa. - Pojechaliśmy do chaty, ale nie znaleźliśmy ani jego, ani psa.

Anders skinął głową. - Mimo że wiele osób widziało dziś rano psa w Gimle.

Ojciec kiwnął głową, stukając palcami po czapce, którą odłożył już na stół. - Pojechaliśmy więc do lensmanna, który powiedział, że zbadał nieco sprawę drwala. Wspomnieliśmy mu też o nożu - spojrzał na Abelone, po czym wstał. - Nie mogę tego pojąć. Potrząsnął głową, drapiąc się po karku. Twarz miał ponurą. - Lensmann nie wie, kim jest ten Aslak Sorensen, skąd pochodzi ani dokąd mógł pojechać.

Nic z tego nie rozumiała. - Ale czy nie pracował dla dziedzica Rosenlowe?

Ojciec skinął głową. - Tak mówił, ale lensmann rozmawiał z tamtejszym zarządcą gospodarstwa, który nie znał nikogo o takim nazwisku. Zarządca nie wiedział też, że ktoś mieszka w chatce drwala.

Anders przyjął kubek kawy, którą podała mu Bera. - Pewnie to jakiś włóczęga, który się tam zadomowił.

Ojciec skinął głową. - Lensmann też tak sądził. A teraz, kiedy grunt zaczął mu się palić pod nogami stwierdził, że najlepiej będzie uciec - zerknął na Abelone. - Pewnie zauważył, że jego nóż zniknął.

W kuchni zapanowała cisza, ojciec pił kawę.

Musiała wyrzucić to z siebie, nie mogła już dłużej czekać.

- Ojcze, muszę ci coś powiedzieć - słyszała, jak jej głos drży.

Ojciec spojrział na nią, czekając, aż powie coś więcej.

- Chodzi o Marie, ojciec. I Isaka. Niedawno był tu doktor Greni. Oboje mają odrę.

Abelone usiadła na krześle z Małym Erikiem na kolanach. Zbadała go już kilka razy, podobnie jak doktor Greni, ale żadne z nich nie dostrzegło na jego ciele śladów wysypki. Nie był też przeziębiony, tak jak Isak i Marie przez ostatnie dni. Mimo to nie mogła przestać podnosić mu rękawów koszulki w poszukiwaniu czerwonych kropek.

Pogładziła palcami jego blade, pulchne przedramię. A jeśli on również zachoruje? I co będzie z Marie i Isakiem? To siostrzyczka była bardziej chora, leżała rozgrzana i bezwładna, poza tym narzekała też na ból gardła. Isak również chorował, ale nie miał tak wysokiej gorączki jak Marie.

- Pójdę na górę do dzieci - powiedziała cicho Bera.



Abelone spojrzała na nią. Doktor Greni doradził, by położyli Marie i Isaka w pokoju dziecięcym przylegającym do gabinetu ojca. Ojciec sam przechodził odrę jako dziecko, opiekowała się nim wówczas Bera. Poza tym dorośli rzadko chorowali, na zarażenie najbardziej wystawione były dzieci.

Abelone skinęła głową. - Życz im ode mnie dobrej nocy.

Bera uśmiechnęła się słabo i chwyciła przygotowaną tacę z jedzeniem. Służąca podgrzała mleko z miodem i ugotowała zupę z dzikiej róży, którą rodzeństwo bardzo lubiło. Abelone odprowadziła ją wzrokiem. Wolałaby sama zajmować się siostrą i bratem, ale rozumiała, że inni mają rację. Trzeba było unikać możliwości zarażenia małego Erika i Jorgena. Dlatego zdecydowali, że tylko Bera i ojciec będą mogli odwiedzać dzieci. Doktor Greni ostrzegł ich poza tym, jak ważne jest mycie się po każdym pobycie w pokoju dziecięcym. Chociaż choroba i tak była już w domu.

Abelone westchnęła głęboko, przytuliła Małego Erika i pocałowała go w policzek. A jeśli...? Nie była w stanie dokończyć myśli. Nie mogli nikogo stracić.

\*

Abelone uniosła robótkę. Właśnie kończyła drugą pończochę dla ojca. Ostatnio robiła na drutach jedynie rzeczy dla dzieci, ale ojciec potrzebował na zimę więcej pończoch.

Zauważyła, że ojciec spojrzał na nią i również na niego zerknęła. Czytał gazetę, lecz jego wzrok spoczywał na niej.

Tak spędzali teraz wieczory. Bera lubiła kłaść się wcześniej, zawsze pierwsza też wstawała, a kiedy wieczorem Sofie wracała do siebie, w domu zostawali sami z ojcem. Najczęściej zajmowała się wtedy robótkami, a później ostatni raz doglądała zwierząt, zaś ojciec czytał książkę lub gazetę, o ile nie musiał zrobić czegoś w gabinecie.

Teraz złożył gazetę i odłożył ją na stół. - Bera twierdzi, że jutro rano Marie nie będzie mieć takiej wysokiej gorączki.

Wiedziała, że ojciec mówi tak tylko, by ją uspokoić, ale miała też świadomość, że tak zazwyczaj jest. Gorączka była najwyższa wieczorem, ale tego dnia u obojga dzieci pojawiła się po raz pierwszy wysypka. Twarz i szyję Marie obsypały kropki, a u Isaka pojawiły się one wysoko na czole i za uszami. - Mam jedynie nadzieję, że pozostałe dzieci nie zachorują - powiedziała cicho, odkładając robótkę na kolana.

Ojciec unikał jej wzroku. - Możemy teraz tylko robić tak, jak poradził nam doktor Greni -odparł cicho i wolno wstał.

Widziała, że ciężko zniósł ten dzień - najpierw wydarzenie w stajni, a teraz choroba dzieci. Wiedziała, że ojciec słusznie boi się, że tego nie wytrzymają. Jeden z jego młodszych braci zmarł na odrę, a Bera opowiadała, jak załamany był wówczas on i cała rodzina.

- Ja mogę dziś doglądać zwierząt- powiedział ojciec, uśmiechając się niewyraźnie. -Chętnie sam zobaczę, co u koni.

Abelone zerknęła na zegar. Było jeszcze wcześniej, ale ojciec był już zmęczony. Mieli za sobą długi dzień, a Abelone wiedziała, że kolejny również będzie męczący. Poza tym musieli zająć się przygotowaniami do świąt. Do wigilii zostały już niecałe trzy tygodnie, a jutro trzeba było zacząć szykować się do uboju.

Właśnie miała wstać, gdy usłyszała pukanie do drzwi wejściowych. Spojrzała na ojca. - Kto przychodzi o tej porze?

Ojciec wyszedł do przedsionka i po chwili usłyszała, jak z kimś rozmawia.

Przez chwilę nasłuchiwała, nim rozpoznała głos. Wydawało jej się, że to Greger Langaard, zarządca majątku Ladefoss.

- Nie zajmę panu dużo czasu, panie Gimle, ale sądzę, że powinien pan coś wiedzieć - usłyszała.

- Może wejdzie pan i usiądzie?

- Dziękuję, ale obawiam się, że muszę iść dalej.

Abelone postanowiła wyjść do przedsiionka, gdyż niegrzecznie było podsłuchiwać.

- Dzień dobry, panie Langaard - przywitała się.

Zarządca majątku ukłonił się. - Bardzo przepraszam, że tak późno przeszkadzam, pani Ladefoss.

- Nie przeszkadza pan - odpowiedziała, ale musiała przyznać, że było późno. Zarządca musiał mieć im coś ważnego do przekazania.

Langaard przez chwilę wahał się, po czym znów się odezwał.

- Dowiedziałem się o tym, co stało się z pańskim koniem, panie Gimle - zaczął, kręcąc głową. - Muszę powiedzieć, że to straszliwy występki, który poruszył zarówno nas w Ladefoss, jak i pozostałych ludzi we wsi.

Abelone spojrzała ukradkiem na ojca, który spuścił wzrok i skinął głową. To, co stało się

z Rimfakse, przesłoniła choroba dzieci, ale Abe-lone wiedziała, że ojciec nadal zrobiłby wszystko, by dowiedzieć się, kto za tym stoi.

- Oczywiście, panie Langaard. Nie pojmuję, jak ktoś mógł dopuścić się czegoś takiego.

Twarz zarządcy pociemniała. - Obawiam się, że mam informacje, które mogą rzucić światło na tę sprawę.

Aksel otworzył szeroko oczy. - Co ma pan na myśli?

Zarządca na chwilę zamilkł. - Nie chcę nikogo obwiniać, ale uważam, że powinien pan wiedzieć, że Marinius Severinsen był wczoraj wieczorem w Ladefoss.

Abelone stała wpatrzona w gościa. Marinius? Parobek, który napadł ją w drewnutni?

- Sądziłam, że jest w Langvik - wymknęło się jej. Według ostatnich wieści o parobku, jakie do niej dotarły, miał dostać wyrok za to, co jej zrobił. Ale nie była pewna, że tak się stało.

Langaard skinął głową. - Ma pani rację,

mieszka u krewnych w Langvik, ale miał do załatwienia w Ladefoss parę spraw, którymi nie *zdążył* się zająć, kiedy go zwolniono.

- Myślałem, że ten łotr miał zostać skazany za to, co zrobił Abelone? - ryknął Aksel.

Zarządca pokręcił głową. - Nie stało się tak. Stwierdzono, że mimo wszystko do niczego nie doszło. Spojrzał na Abelone z ukosa. - Naprawdę przykro mi z tego powodu. Myślałem, że może pastor Munthe państwu o tym wspomniał.

Wbiła oczy w podłogę. Nic na ten temat nie słyszała.

- Ale ten zbir napadł Abelone - ciągnął zezłoszczony ojciec. - Jak ktoś mógł uznać, że nie należy go ukarać?

Langaard potrząsnął głową, tłumiąc wściekłość. - Zgadzam się z panem, panie Gimle. To wstyd, że nie zostanie ukarany.

Aksel parsknął. - Ale mówi pan, że Marinius był wczoraj wieczorem w Ladefoss? - głos drżał mu ze złości.

Langaard skinął głową. - Właśnie tak. Co więcej, za dużo wypił i razem z parobkami musiałem powstrzymać go, by tu nie przyszedł.

Abelone poczuła narastający niepokój. - Czego tu chciał?

Zarządca majątku spojrział na nią niepewnie. - Wolałbym nie zdradzać szczegółów wczorajszego zachowania Marinius, pani Ladefoss.

Ojciec odwrócił się do niej. - Abelone, myślę, że powinnaś już iść na górę.

Potrząsnęła głową, chociaż miała świadomość, że zarówno ojciec, jak i zarządca nie chcą, by dowiedziała się, co się stało. - Nie, ojczu, chcę usłyszeć, co do powiedzenia ma pan Langaard - przybrała najbardziej zdecydowany wyraz twarzy, na jaki było ją stać. - A więc mówi pan, że Marinius żywi do mnie urazę?

Zarządca westchnął. - Myślę, że można to tak nazwać, proszę pani - powiedział z wahaniem.

Ojciec postąpił krok naprzód. - Co dokładnie powiedział?



Langaard westchnął, jakby musiał się zastanowić. - Mówił tak dużo, panie Gimle, że nie pamiętam wszystkiego, ale krzyczał na pewno, że chce iść do Gimle i porozmawiać z panią Ladefoss. Chrząknął cicho i wymienił spojrzenia z Akselem. - Obawiam się, że nie mogę zacytować jego słów w obecności kobiety.

Ojciec skinął krótko. - Rozumiem. Więc mówi pan, że Marinius parokrotnie chciał tu przyjść, ale go powstrzymano?

- Zgadza się i myślę, że oczywiste dla wszystkich było, że nie miał dobrych zamiarów.

Abelone zastanowiła się nad czymś. - Mógłby pan powtórzyć nazwisko Mariniususa?

- Severinsen - odpowiedział zarządca. Spojrzała na ojca, który najwyraźniej pomyślał to samo, co ona.

- Chwileczkę, panie Langaard. Ojciec poszedł do swojego gabinetu i po chwili wrócił. W dłoni trzymał nóż znaleziony w stajni. - Mogę zapytać, czy rozpoznaje pan ten przedmiot?

Zarządca majątku wziął nóż i od razu skinął głową. - Należy do Mariniususa. Pamiętam go dobrze, bo wieczorami, kiedy miał wolne, lubił strugać nim w drewnie. Proszę zobaczyć, są tu jego inicjały, M.S.

Wpatrywała się w nóż jak zahipnotyzowana.

A więc Mariniusus zrobił to wszystko.

Zemścił się.

Blanche zerknęła w napięciu na zabudowania Rosenlowe, które pojawiły się u końca alei. Podczas balu maskowego poznała nową właścicielkę, wdowę Lucie Archer, okazało się wówczas, że pragnie ona zaangażować się w działalność dobroczynną w mieście. Szczególnie interesowały ją biedne dzieci i sieroty w okolicy, z zaciekawieniem słuchała też opowieści Blanche o sierocińcu. Pani Archer miała wiele pytań, a na koniec zaprosiła Blanche na herbatę.

Blanche nie wiedziała zbyt wiele o rodzinie Archerów, lecz pojęła, że byli krewnymi lady Constance, zmarłej żony Carla von Wittenheima.

Lady Constance była siostrą angielskiego męża wdowy Archer, zatem Carl von Wittenheim zapisał Rosenlowe w spadku bratankowi żony, panu Williamowi Radcliffowi Archerowi. Wdowa Archer jako młoda dziewczyna przeprowadziła się wraz z rodziną do Anglii z Langvik, więc dobrze znała życie w tamtejszym hrabstwie. Blanche sama nigdy jej nie spotkała, lecz majątna rodzina była dobrze znana w okolicy.

Sanie zatrzymały się przed posiadłością i Blanche wysiadła. Nigdy nie czuła się zbyt dobrze w Rosenlowe. Majątek był co prawda okazały i piękny, ale nie podobał jej się nigdy panujący tam klimat. Sądziła, że to wina rodziny von Wittenheimów. Archerowie z kolei wydawali się mili i przyjaźni. W każdym razie bal maskowy znakomicie się udał.

Weszła po szerokich kamiennych schodach i uniosła kołatkę. Po chwili w drzwiach pojawiła się służąca w średnim wieku i wskazała drogę do środka.

Przyjechała trochę za wcześnie, lecz wdowa Archer wkrótce ją przyjęła. Była ładną, zbliżającą się pięćdziesiątki kobietą. Włosy miała ciemne, przetykane srebrnymi pasmami, była szczupła i średniego wzrostu. Na jej twarzy gościł uśmiech, a niebieskie oczy spoglądały przyjaźnie na Blanche, która cieszyła się, że spędzi z nią czas. Po chwili odnalazły ton rozmowy z balu maskowego, chociaż wdowa Archer była o wiele starsza od Blanche. Cały czas nosiła żałobę, nawet na balu ubrana była na czarno, chociaż od śmierci jej męża minęło już kilka lat.

- Jak miło, że mogła pani przyjść, pani Bjerkeley - powiedziała pani Archer serdecznie, ściskając jej dłonie. - Tak się cieszyłam na spotkanie z panią.

Wdowa przeprowadziła ją przez wielki hol do przyjemnego salonu z wychodzącymi na ogród dwuskrzydłowymi szklanymi drzwiami. Salon wyglądał inaczej niż w czasach, gdy mieszkał tam wuj Oskara. Zauważyła, że meble

są nowe, pani Archer zadbała też o przyozdobienie pomieszczenia zielonymi płytami.

Blanche usiadła i wymieniła grzeczności z gospodynią. Wniesiono piętrową paterę z ciastkami, a do delikatnych filiżanek z chińskim wzorem nalano herbatę. Zrozumiała, że Archerowie musieli być zamożni jeszcze przed odziedziczeniem Rosenlowe, spostrzegła także, że mimo to wiele się tu zmieniło. Nastrój nie był tak sztywny i formalny, jak w czasach Carla von Wittenheima. Teraz *miło* było tu przyjść, jak nigdy wcześniej.

- Bal maskowy wyjątkowo się udał - zaczęła Blanche, po czym wypła łyk herbaty pachnącej wanilią.

Pani Archer skinęła głową, uśmiechając się. -Tak, mam nadzieję, że goście dobrze się bawili. Nam również miło było lepiej ich poznać.

Blanche zrozumiała, że w skład rodziny Archerów z Rosenlowe wchodziła wdowa i jej troje dzieci - dziedzic William Radcliff Archer, które-

go ledwie poznała podczas balu, starsza siostra i najmłodsza Victoria, chorowita dziewczynka na wózku inwalidzkim. Pani Archer miała też pasierba, który odziedziczył majątek rodziny w Anglii.

Rozmawiały o gościach balu, pani Archer nie orientowała się dokładnie, kim był każdy z nich.

Blanche rozważała, czy powinna wspomnieć o kobiecie, która wepchnęła ją do buduaru, ale zdecydowała się nic o niej nie mówić. I tak trudno byłoby jej wytłumaczyć, jak wyglądała, poza tym nie miała zamiaru opowiadać o okolicznościach wydarzenia. Wystarczyło, że musiała powiedzieć o tym dyrektorowi banku Schmidtowi, gdy poszła wczoraj do banku, by wpłacić trzy tysiące koron. Oczywiście był zdziwiony tym, że odzyskała pieniądze.

Wdowa Archer odstawiła filiżankę. - Pani Bjerkeley, musi mi pani opowiedzieć o *swoim* sierocińcu. Bardzo mnie on ciekawi.

Blanche uśmiechnęła się. Miło było słyszeć

jej entuzjazm. - Najlepiej byłoby, gdyby nas pani kiedyś odwiedziła, wtedy sama mogłaby pani zobaczyć, jak prowadzi się sierociniec.

Pani Archer skinęła z zadowoleniem głową. -Bardzo chętnie, jestem też pewna, że moje córki z chęcią będą mi towarzyszyć. Jak wiele dzieci mieszka w sierocińcu?

Blanche zaczęła opowiadać, ciesząc się, że ktoś przejmuje się sierocińcem, bo nieczęsto się to zdarzało. Miejski Związek Kobiet zbierał co prawda pieniądze przy różnych okazjach, ale niewiele osób interesowało się jej domem tak bardzo, jak pani Archer.

- To dobrze dla miasta, że ma taki sierociniec - stwierdziła wdowa. - Już dawno zniesiony powinien zostać system, w którym dzieci oddaje się temu, kto zaakceptuje najniższą zapłatę za opiekę nad nimi. To potworne, że dzieci naraża się na takie traktowanie.

Blanche skinęła głową. - Ma pani rację, jednak obawiam się, że handel biedotą nie skoń-



czy się tak prędko. My sami przyjmiemy teraz dwóch chłopców - braci w wieku pięciu i siedmiu lat, których komisji do spraw ubogich nikomu nie udało się oddać. Tak nie powinno się dziać, dodała w myślach.

- Braci oddano wcześniej do dwóch gospodarstw, ale zachowywali się tak źle, że nie pozwolono im tam zostać.

Wdowa zmarszczyła czoło. - Dlaczego?

- Stwierdzono, że chłopcy mają trudny charakter i dlatego nikt nie chce się nimi opiekować - odpowiedziała jedynie. Nieraz okazywało się, że „trudne” dzieci wcale nie zachowywały się tak źle po przybyciu do sierocińca. Nie zawsze dzieci były odpowiednio traktowane w miejscach, gdzie oddawano je pod opiekę. Większość gospodarzy wymagała od chłopców ciężkiej pracy, a kiedy ci nie byli wystarczająco szybcy lub zdolni, dzieci odsyłało się z domu po wygaśnięciu kontraktu.

- Ale skąd dostają państwo środki? - zapytała pani Archer.

- Związek Kobiet i inne instytucje dobroczynne organizowały wiele balów na rzecz sierocińca, lecz przede wszystkim korzystam ze środków odziedziczonych po moim ojcu. Komisja do spraw ubogich również płaci za dzieci przebywające w sierocińcu - wyjaśniła.

Pani Archer spojrzała na nią z podziwem. -A willa, w której mieści się sierociniec, to pani dom rodzinny, zgadza się?

Blanche skinęła głową. - Tak, mieliśmy szczęście. Dużo trudniej byłoby prowadzić sierociniec, gdybyśmy musieli pożyczać pieniądze na jego utrzymanie.

Pani Archer wyglądała na zamyśloną. - A więc ofiarowała pani na rzecz sierocińca dużą część swojego spadku?

Blanche nie odpowiedziała od razu. Nie patrzyła na to w ten sposób. Tak naprawdę nie chciała mieszkać w wielkiej willi sama. Poza tym radością napełniało ją obserwowanie, jak dom zaludniają dzieci, które cierpiałyby, gdyby

nie ona. - Jestem pewna, że moim rodzicom podobałoby się takie rozwiązanie - odpowiedziała.

Pani Archer uśmiechnęła się. - Z chęcią z palią o tym podyskutuję, pani Bjerkely, mam nadzieję, że nie uzna mnie pani za zbyt szczerą.

Blanche spojrzała na nią pytającym wzrokiem. - Ależ skąd, pani Archer.

Kobieta zaśmiała się cicho. - W zasadzie to propozycja mojej młodszej córki, Victorii. Chociaż ma dopiero czternaście lat, jest mądra rozważna. Blanche zauważyła, że oczy rozmówczyni się zaszklily. Ciężko musiało jej być patrzeć na córkę jeżdżącą na wózku, a Blanche zdawała sobie sprawę, że dziewczynka nie Ima zbyt wielkich szans na to, by kiedykolwiek z niego wstać. Mimo to rodzina musiała wierzyć, że tak się jednak stanie, gdyż w Nowy Rok panienska Victoria miała jechać do Szwajcarii, gdzie mógł pomóc jej pewien uznany lekarz - tyle przynajmniej powiedziała jej na balu Ingvarda.

- Wiedziała pani, że bal maskowy wydano na cześć Victorii?  
Blanche skinęła głową.

- Wie pani, zazwyczaj nie chodzi się na bale przed skończeniem piętnastego roku życia, ale jej brat uznał, że możemy przymknąć na tę regułę oko. Gospodyni spuściła wzrok i prędko osuszyła oczy. - W każdym razie Victoria dowiedziała się o pani sierocińcu i stwierdziła, że miło byłoby, gdyby można było zorganizować tam bal.

Blanche spojrzała na nią zdumiona. - Bal dziecięcy?

Pani Archer przytaknęła. - Owszem, bal, na który zaproszono by również inne dzieci z miasta. A dochód przeznaczyć można by na dzieci z sierocińca.

Blanche spodobał się od razu ten pomysł. Pamiętała takie bale z własnego dzieciństwa, zawsze były bardzo miłe. Można było tam tańczyć, bawić się, a poza tym zawsze przyjemnie było

się stroić. - Możemy dać ogłoszenie do gazety - zaproponowała, zastanawiając się jednocześnie, jak przeprowadzić bal. W sierocińcu mieszkało szesnaścioro dzieci - jak mieliby zapłacić za stroje balowe dla wszystkich?

Pani Archer uśmiechnęła się przebiegle. - Widzę, o czym pani myśli, ale nie musi pani martwić się o ubrania dla dzieci. Moje córki mają wiele ładnych sukien, które może przydadzą się dziewczynkom z sierocińca. Mam poza tym dwóch synów, ich wszystkie ubrania są razem spakowane. Wspomniałam już o pomysłe paru przyjaciółkom, które chętnie wydadzą na ten cel część strojów swoich pociech. A jeżeli mimo to któreś z dzieci nie miałyby ubrania, zadbam o to, by je dla nich uszyto. Zorganizuję też oczywiście czteroosobową orkiestrę oraz obsługę. Co powie pani na to, by bal odbył się w tygodniu świątecznym?

Blanche zaczęła się śmiać. Zrozumiała, że pani Archer już dokładnie wszystko przemyślała. Poza tym po namysle stwierdziła, że sama

i ma parę sukienek z dzieciństwa, które mogłyby włożyć dziewczęta z sierocińca.

- Dzieci będą zachwycone - zgodziła się Blanche. - Poza tym tydzień świąteczny znakomicie pasuje na termin balu. Zazwyczaj świętowali urodziny dzieci, ale musieli wtedy się dość ograniczać. Większość dzieci nie była jednak przyzwyczajona do dużych imprez, więc niewiele będzie trzeba, by je ucieszyć. Poczła ciepło na policzkach. Kto by pomyślał, bal dla dzieci! Będą takie szczęśliwe i pełne oczekiwania.

- To bardzo miło z pani strony, pani Archer - odezwała się ponownie Blanche, nie wiedząc właściwie, co ma powiedzieć - nie mogła uwierzyć, że ktoś robi dla nich coś takiego. - To będzie prawdziwe przeżycie dla dzieci.

Wdowa wstała. - Powinna pani podziękować mojej córce, to ona wyszła z tą propozycją. Może chciałaby pani ją poznać? Siedzi w bibliotece, malarz maluje jej portret.

Blanche wstała. - Z przyjemnością, pani Archer. Zdawała już sobie sprawę, że panienka Victoria musi być wyjątkową młodą kobietą. Nie rozmawiała wprawdzie z nią na balu maskowym, a poruszył ją fakt, że młoda dziewczyna, która sama nie może tańczyć, chciała wyprawić bal.

Poszły w stronę biblioteki, drzwi prowadzące do niej były uchylone. Już w holu czuła ostry zapach terpentyny i farby olejnej.

Pani Archer otworzyła lekko drzwi. - Panie Lothe? - zapytała ostrożnie.

Malarz stał częściowo zwrócony do nich, Victoria siedziała na krześle pod oknem, patrząc na ogród. Rzadkie, jasne włosy układały się w loki miękko opadające na zbyt wąskie, zgarbione ramiona. Dłonie spoczywały na kolanach. Złota, obszerna suknia z muślinu nie ukrywała jej szczupłej postury. Dziewczynka była wręcz *przeróżliwie* chuda, niemal ginęła w swym wózku.

- Panienko *Victorio*, proszę się nie ruszać! -zawołał malarz. -  
Właśnie złapałem wyraz twarzy panienki...

Wdowa Archer gestem zasygnalizowała, żeby wracać, gdyż malarz wyraźnie nie chciał, by mu przeszkadzano.

Chwyciła klamkę i miała zamiar ostrożnie przymknąć drzwi.

- Pani Archer? - malarz *zwrócił* się do *niej* z promiennym uśmiechem na ustach. - Nie wejdzie pani?

Spojrzała na niego nieco niepewnie. - Nie chciałam panu przeszkadzać, panie Lothe.

- Wcale pani nie przeszkadza - stwierdził radośnie, odkładając paletę i pędzel, tego spojrzenie spoczęło na Blanche, chociaż mówił do wdowy.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zaciekawienia. - Poza tym już na dzisiaj skończyłem, panienka Victoria długo pozuje.

Pani Archer odwróciła się do Blanche i przed-



stawiała ją malarzowi. - To pan Lothe, wspaniały artysta malarz, który pobierał nauki u najlepszych europejskich mistrzów.

Pan Lothe ujął dłoń Blanche i ucałował ją, elegancko się skłaniając. Zauważyła, że spojrzenie i uśmiech ma wyzywające, toteż prędko odwróciła wzrok.

- A więc musi pani przywitać się z moją córką - poprosiła pani Archer i podeszła prędko do Victorii.

Kiedy Blanche szła w stronę dziewczynki, jej włosy oświetliły promienie słońca, nadając im miodowy połysk. Victoria byłaby bardzo piękna, gdyby nie jej postura, pomyślała Blanche i poczuła ukłucie w sercu. Jej twarz jaśniała dobrocią, duże oczy w wąskiej twarzy były przyjazne i bystre - zbyt mądre, by należeć do czternastolatki.

Blanche chwyciła jej dłoń. Zaskoczyło ją, jak silna była ta koścista ręka. - Nie udało nam się niestety porozmawiać na balu - przeprosiła Blanche.

Dziewczyna uśmiechnęła się. - Nie szkodzi, możemy przecież porozmawiać teraz. Głos miała jasny i wyraźny.

Malarz podszedł do nich, zwracając wzrok na Victorię. - Wygląda jak anioł, nieprawdaż pani Bjerkeley? Mrugnął do dziewczynki i wytarł ręce kawałkiem materiału pachnącym terpentyną.

Blanche skinęła głową i uśmiechnęła się. -Ma pan rację. Miała ochotę powiedzieć, że jej włosy lśnią niczym złoto, ale powstrzymała się. Nie w jej stylu było mówić coś takiego, poza tym obawiała się, że dziewczynka może poczuć skrępowanie.

- Mogę zobaczyć, ile udało się już panu namalować? - zapytała Victoria z zainteresowaniem.

Blanche zerknęła na pana Lothe, który, co dziwne, przystał na to. Myślała, że malarze wolą nie pokazywać swoich obrazów przed skończeniem.

- Oczywiście, panienko Victorio. Chwył jej fotel i podjechał z nią do obrazu.

- Niedługo pan skończy - zawołała Victoria i spojrzała w zachwycie na pana Lothe, który położył dłoń na jej ramieniu.

- Ma panienska rację. Wskazał na obraz. -Nie skończyłem jeszcze całkiem twarzy, widzi panienska? Czoło i nos będą jaśniejsze.

- Moim zdaniem wygląda na skończony - zaśmiała się Victoria. - Widziałaś, mamó? Obraz będzie wspaniały, dokładnie taki, jak chciałam.

Blanche i pani Archer podeszły do obrazu.

Nietrudno było zrozumieć zadowolenie Victorii. Blanche pomyślała, że nigdy wcześniej nie widziała podobnego portretu - nie był on ponury i uroczy jak wiele innych. Dominowały na nim jasne, delikatne kolory, rozświetlony był blaskiem padającym z okien do wnętrza biblioteki. Wyglądało tak, jakby panienska Victoria cieszyła się słońcem, promienie rozkładały się na złotej sukni i bladej, lecz uśmiechniętej twarzy dziewczyny.

Udało mu się namalować ją taką, jaka była, a mimo to nie wyglądała na chorą i słabowitą, chociaż siedziała na wózku inwalidzkim.

- Obraz jest wspaniały - powiedziała Blanche cicho. Nietrudno było zrozumieć, że pan Lothe musi być uznanym artystą, choć miał pewnie mniej niż 30 lat.

- Podoba się pani? - zapytał, podchodząc do niej.

Blanche spojrzała na niego. Miał ciemne, falowane włosy opadające na kołnierzyk koszuli - zbyt długie jak na obecną modę. Spojrzenie zielonych oczu było żywe, lecz coś w jego wzroku jej się nie podobało. Uśmiechał się, ale wyraz jego oczu... Odwróciła spojrzenie. Przypuszczała, że pan Lothe zdaje sobie sprawę ze swego wdzięku. Coś było w mężczyznach, którzy uważali się za nieodparcie przystojnych, ale Blanche nigdy nie dawała się im uwieść.

- Pan Lothe powinien namalować pani portret - zaproponowała panienka Victoria.

Pani Archer skinęła głową. - Słusznie, masz rację, Victorio.

Blanche poczuła, że się rumieni. Nie miała wcale ochoty, by ją portretowano. Niedawno byli u fotografa, a ostatnio otrzymali nowy obraz, bo poprzedni został zniszczony. Tyle wystarczy.

Zauważyła, że pan Lothe przygląda się jej. - Z chęcią panią namaluję, pani Bjerkeley - powiedział zdecydowanie. - Marzeniem artysty jest móc namalować taką twarz. Ma pani takie klasyczne rysy. Kolor włosów i cera, karnacja -piękne, kontrastowe i wyraziste. Zachichotał cicho, a jego spojrzenie stało się natarczywe. - Jest pani piękną kobietą i mogę pani obiecać portret, z którego będzie pani dumna.

Blanche spojrzała na niego. Nie była pewna, czy jest poważny, czy zawsze tak mówi. Na pewno zaś nie był skromny.

Zbliżył się do niej na krok. - Malowałem już wiele ładnych kobiet, ale pani twarz jest piękn-

niejsza. Zmrużył oczy, przesuwał wzrokiem po jej obliczu. W spojrzeniu miał coś osądającego. Jak gdyby patrzył, nie widząc. Przypuszczała, że tacy są już artyści. - Ma pani interesujące oczy, jest w ich wyrazie coś, co ciekawe byłoby uchwycić.

Pani Archer zaśmiała się. - Proszę się tylko nie przestraszyć, pani Bjerkeley - powiedziała radośnie.

Pan Lothe również zaczął się śmiać. - Wystraszyłem panią? Nie, proszę się nie bać, pani Bjerkeley. Chciałem jedynie pani powiedzieć, że z wielką chęcią bym panią namalował, jeżeli mi pani pozwoli.

Nie miała ochoty, ale trudno było jej odmówić. Poza tym musiała przyznać, że obraz panienki Victorii był wyjątkowo piękny. Gdyby Helene Augusta była nieco starsza, chciałaby, aby ją również namalowano, lecz na razie nie potrafiłaby zbyt długo usiedzieć spokojnie. Zastanowiła się. W holu sierocińca od lat wisiał

obraz matki. Kiedy powstał, matka była nieco młodsza niż ona teraz, ale portret zawsze podobał się jej. Ukazywał matkę taką, jaką była przed laty.

Skinęła głową, uśmiechając się. - Chciałabym, aby mnie pan namalował.

Twarz pana Lothe pojaśniała w uśmiechu. - Miło mi to słyszeć.

Ustalili, że przyjdzie do sierocińca, kiedy skończy obraz Victorii. Później pani Archer odwiozła córkę do salonu, gdzie piły wcześniej herbatę.

Blanche zrozumiała, że dziewczynka musi być zmęczona, więc pożegnała się.

Cieszyła się, że opowie dzieciom z sierocińca o balu.

\*

Kiedy dotarła do sierocińca, na dziedzińcu stały jakieś nieznane jej sanie.

Szła właśnie przez ogród, gdy otworzyły się drzwi. Pojawił się w nich dyrektor banku Schmidt.

- To pan, panie Schmidt? - zapytała z uśmiechem, lecz szybko dostrzegła jego ponurą minę.

Skinął głową. - Tak, bardzo chciałbym z panią porozmawiać, pani Bjerkeley.

Powaga jego głosu od razu ją zaniepokoiła. O co mogło chodzić? - zastanawiała się, zdejmując płaszcz i wskazując mu drogę do gabinetu. Chyba dobrze zarządzała środkami sierocińca? A może chodziło o lożę?

- Nie usiądzie pan, panie Schmidt? - zapytała, wskazując ręką krzesło przy biurku.

Dyrektor skinął głową i usiadł. Czekał, aż znów się odezwie, sama zajęła swe miejsce.

- Przejdę od razu do rzeczy - zaczął. - Chodzi o trzy tysiące koron, które wczoraj przyniosła pani do banku.

- Tak? - spojrzała na niego pytającym wzrokiem, nie rozumiejąc, do czego zmierza.



Odkasznął w dłoń i po chwili znów się odezwał. - Pieniądze są fałszywe.

Blanche ze zdziwienia aż otworzyła usta. -Co takiego?

Spojrzał na nią ponuro. - Pieniądze są fałszywe - powtórzył. - Odkrył to jeden z pracowników banku.

Wpatrywała się w dyrektora. - Ale chyba nie sądzi pan... Nie myśli pan, że ja...?

Prędko potrząsnął głową. - Oczywiście, że nie, nic z tych rzeczy.

Siedzieli, patrząc na siebie nawzajem. Wtedy zrozumiała.

Szantażystka, kobieta, która wepchnęła ją do buduaru, znów ich oszukała.

Ellen czuła na sobie wzrok innych pacjentek, kiedy jedna ze strażniczek prowadziła ją przez bawialnię. Czy chociaż nie mogły spróbować ukryć *swojej* ciekawości? Niektóre z kobiet otwarcie gapiły się na nią, ale może i nie powinna była spodziewać się czegoś innego. Jeżeli w chwili przybycia do szpitala w ogóle miały jakąś ogładę, do tej pory zdążyły ją już stracić.

Strażniczka powiedziała, że profesor Calmeyer chce z nią rozmawiać. A więc *coś* było na rzeczy. Od swojego przyjazdu do szpitala zamieniła ledwie słowo z profesorem. Na oddzia-

le codziennie rozmawiała z doktorem Juulem, ale na nowym oddziale nie przeprowadzano takich stałych rozmów.

Może strażniczki zrozumiały, że nic tu po niej? Po pierwszym dniu na nowym oddziale, kiedy biła pięściami w okno, gdy zobaczyła na zewnątrz ojca, Abelone i Ulrika, zaczęła zachowywać się nienagannie, z wyjątkiem jednej nocy, kiedy miała koszmary. Zauważyła, że sztywna pani Logmrig patrzyła na nią surowym spojrzeniem. Sądziła nawet, że powinno się ją przenieść na inny oddział, ale chyba zapobiegł temu doktor Juul lub panna Marstrand.

Wyszły z salonu na korytarz, ale z powodu głośnych wrzasków na końcu holu strażniczka zwolniła krok. Ellen rozpoznała pacjentkę, która krzyczała najgłośniej - tę z brwiami. Silna kobieta zaczęła się wyrywać i jedna ze strażniczek musiała użyć całej swojej siły, by ją uspokoić.

Zatrzymały się przed drzwiami do korytarza, w którym znajdował się gabinet profesora Cal-

meyera. Strażniczka chwilę szukała odpowiedniego klucza, po czym otworzyła drzwi.

- *Panno Lind! Musi mi pani pomóc!* - to inna strażniczka wołała o pomoc z końca holu.

Strażniczka spojrzała przelotnie na Ellen. -Pani Bjerregaard, trafi pani sama do gabinetu profesora Calmeyera, prawda?

Czyżby strażniczka chciała pozwolić jej iść samej? W takim razie pewnie prędko wróci do domu. Podekscytowana tą myślą odpowiedziała z radością: - Oczywiście.

Strażniczka skinęła głową. - Proszę iść, ja wrócę za chwilę.

Strażniczka niemal wepchnęła ją do środka i zamknęła za nią drzwi. Ellen słyszała dalsze krzyki kobiety z brwiami, ale zbyt była rozemocjonowana, by jej współczuć. Sama możliwość przejścia samemu przez korytarz wydawała jej się cudowna.

A może nawet będzie mogła wrócić do domu!

Gdy zbliżyła się do gabinetu profesora Cal-

meyera, miała spocone ręce, a serce biło jej dwa razy pręcej niż zwykle.

Zatrzymała się przed drzwiami do gabinetu. Czy ma zaczekać na strażniczkę? A może powinna zapukać?

Zdecydowała się na to drugie, w końcu strażniczka mówiła, że profesor na nią czeka.

Uniosła dłoń i zapukała, lecz nikt nie odpowiedział. Czekala, a po chwili znów zapukała. I tym razem nikt się nie odezwał.

Postanowiła otworzyć drzwi, gdyż równie dobrze mogła poczekać w gabinecie.

Cicho zamknęła je za sobą. Przez chwilę stała, rozglądając się wokół. Wnętrze wyłożone było ciemnym szlachetnym drewnem, na podłogach leżały perskie dywany, a ściany od sufitu do podłogi zajmowały półki z książkami. Za wielkim biurkiem profesora widać było łukowe okno, przez które lekarz, jeśli chciał, mógł wyglądać na plac przed szpitalem.

Jej uwagę przyciągnęły drzwi w krótszej ze

ścian, oznaczone napisem *Prywatne*. Nie zauważyła ich, kiedy była tu poprzednim razem.

Drzwi były uchylone i zorientowała się, że ktoś jest za nimi i rozmawia.

Nie chciała podsłuchiwać, ale nie mogła nie usłyszeć wypowiedzianych słów.

*-Anno, ona niedługo przyjdzie, muszę...*

Słowa przeistoczyły się w ciche westchnienia. - *Nie, mamy czas, proszę, ja...*

Dobiegających z wewnątrz odgłosów nie można było z niczym pomylić. Poza tym rozpoznawała mówiące osoby. *Musiła* podkraść się bliżej, by je zobaczyć.

W policzki uderzyła ją fala ciepła i prędko się odwróciła. Jak najszybciej i jak najciszej znalazła się z powrotem w drzwiach wejściowych i uchylła je. Wstrzymała oddech, rozglądając się na boki, po czym z końca korytarza dobiegł ją dźwięk klucza wtykanego w zamek.

Akurat zdążyła wybiec na zewnątrz i za-

mknąc za sobą drzwi, kiedy śpiesznie podeszła do niej strażniczka.

- Tak pani czeka? Zapukała pani? - Ellen widziała, że strażniczka ma spocone czoło, pewnie ciężko było uspokoić krnąbrną pacjentkę.

Strażniczka uniosła dłoń, by mocno zapukać trzy razy do drzwi.

Ellen nie wiedziała, w którą stronę spojrzeć.

- Nie ma go w gabinecie? - wymamrotała strażniczka z irytacją, zapukała raz jeszcze, po czym otworzyła drzwi i zajrzała do środka.

W tej samej chwili profesor Calmeyer wyszedł z prywatnego pokoju. Zwykle nienagannie ubrany lekarz tym razem wyglądał dość niechlujnie, nawet porządnie nie zawiązał muchy.

- Profesorze, pani Bjerregaard, jak pan prosił - powiedziała strażniczka i otworzyła dla Ellen drzwi.

- Tak, oczywiście - powiedział, chodząc dość niespokojnie w tę i z powrotem, po czym usiadł.

- Proszę spocząć, pani Bjerregaard, proszę

spocząć - poprosił, wyciągając dłoń w stronę krzesła przed biurkiem. Profesor był jak zawsze uprzejmy, lecz nietrudno było spostrzec, że myśli o czymś innym niż o rozmowie z nią.

Ellen zerknęła na drzwi do prywatnego pokoju profesora.

Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie zobaczyła. Profesor Calmeyer i sztywna, zimna pani Lognvig w namiętym uścisku. Przypuszczała, że oboje mają małżonków, ale jej oczy nie kłamały.

Byli kochankami.



Abelone stała przy drzwiach czekając, aż Bera wyjdzie od Marie i Isaka. Służąca poszła do nich niedawno z jedzeniem i piciem. Wczoraj niewiele jedli, ale miała nadzieję, że chociaż coś wypiją.

Miała spocone dłonie, nasłuchując kroków Bery w pokoju, lecz odczuła ulgę, kiedy otworzyła drzwi. Jej pomarszczoną twarz zdobił lekki uśmiech.

- Śpią - szepnęła Bera i cicho zamknęła za sobą drzwi.
- Zjedli coś?
- Marie nie dała rady, bo bardzo bolało ją gardło, ale Isak zjadł nieco zupy. Oboje wypili sok.

- Mają większą wysypkę? Bera skinęła głową, wzdychając. - Tak,

biedne maluchy. Marie ma wysypkę na brzuchu i plecach, ale z Isakiem nie jest jeszcze tak źle.

Poczuła ukłucie w sercu, słysząc te słowa. Gdyby tylko sama mogła do nich pójść! Jednocześnie wiedziała, że niewiele może zrobić, Bera pomagała dzieciom jak mogła.

- Aksel pojechał? - zapytała Bera, kiedy schodziły po kręconych schodach.

Abelone skinęła głową. - Wyjechał po drugim śniadaniu. Ojciec chciał powiedzieć lensmannowi, że znaleziony w stajni nóż należał do Mariniususa, chociaż Greger Langaard nie wiedział, gdzie podział się parobek. Mieli nadzieję, że jest u swoich krewnych w Langvik, wówczas policja mogłaby go łatwo znaleźć.

Bardzo pragnęła, by go złapali, ale nawet gdyby policja znalazła Mariniususa i zostałby ukarany, nic nie mogło oddać im Rimfakse.

- Pewnie strasznie mnie nienawidzi za to, co zrobiłam - powiedziała cicho, kiedy wchodziły do kuchni. - Chociaż chciałam mu tylko pomóc.

Zerknęła na Berę. Była tego ranka niezwykle cicha i zamyślona, lecz Abelone wiedziała, jak bardzo boi się o dzieci. Bera pracowała w Gimle od wczesnej młodości i nigdy nie założyła własnej rodziny, chociaż zdaniem Abelone pewnie jej tego brakowało. Bera zawsze kochała dzieci. Wcześniej często zdarzało się Abelone znaleźć na jej kolanach pociechę i usłyszeć miłe, mądre słowo.

- Miejmy nadzieję, że lensmann go złapie - odpowiedziała Bera, zaczynając nalewać wodę do dużego kotła.

Abelone wiedziała, jaka czeka ich w najbliższych dniach praca. Przygotowywania do uboju trwały na ogół tydzień, a w tym roku zaczynali dość późno, bo czekali na odpowiednią fazę księżyca.

Dzisiaj mieli wyjąć wszystkie potrzebne koryta, beczki i baryłki. Najpierw będzie musiała wyłożyć gałązkami jałowca dno beczek, a później zalać je wrzącą wodą. Beczki postoją tak do wieczora, wywar z jałowca zostanie wylany, a beczki odstawione do wyschnięcia.

Chociaż mieli na głowie wiele innych spraw, musieli zacząć pracę.

Sama się nie robi.

Dobrze było choć na chwilę opuścić gospodarstwo. Ojciec nie wrócił jeszcze od lensmanna, ale cieszyła się, że wiedzą już, kto skrzywdził Rimfakse. Przypuszczała, że to również Marinius pomalował ścianę, lecz myśli zajęte miała teraz Marie i Isakiem.

Nikt nie wspominał o dzieciach, wszyscy mieli swoje stałe zadania do wykonania, ale wiedziała, że każdy myśli o tym samym. Z powodu cho-

roby Maline, Sofie i ona sama miały więcej pracy, ale cieszyło ją to. Pracując mogła przynajmniej a krótką chwilę oderwać się od ciężkich myśli.

Skreśliła z głównej drogi i podążyła w stronę settedalen. Znała miejsce, gdzie rosło dużo jałowca - tam mogła go narwać.

Gdy wyjeżdżała, Mały Erik właśnie zasnął, lecz przed położeniem spać ponownie go zbadła. Nie miał gorączki ani nie wyglądał na przeziębionego, jego ciała nie pokrywała też wysypka, ale Abelone pamiętała, jak na odrę zachorowała małeńka siostrzyczka Maline. Dziewczyna prawie nie gorączkowała, a jednak doktor Greni stwierdził, że walczy o życie. Niepokój znów wypełnił ją całą. Gdyby tylko istniał lek na tę okropną chorobę! Ale nie było, a dzieci ocalić mogła jedynie dobra wola Boga. Na szczęście miały Berę, która już wcześniej opiekowała się dziećmi chorymi na odrę. Ona na pewno wiedziała, jak przywrócić Marie i Isaka do zdrowia.

Zbliżyła się do stromego, wysokiego zbocza, pod którym zazwyczaj zbierała jałowiec. Wiosną było to jedno z pierwszych miejsc, gdzie topniał śnieg, stok był łagodnie nachylony na południe.

Odstawiła kosz i udeptała śnieg, by dotrzeć do najbliższych krzewów. Musiała wypełnić cały kosz.

Chwyciła pierwszą gałąź i odcięła ją małym nożykiem.

Zdażyła zappełnić kosz do połowy, kiedy dobiegł ją jakiś dźwięk.

Odwróciła się i spojrzała na drogę, która nieco wyżej skręcała w lewo. Chyba coś usłyszała? Dźwięk brzmiał niczym skowyt lub pisk zwierzęcia.

Wyszła znów na drogę i stanęła, nasłuchując. Najpierw słyszała jedynie ptaki, ale po *chwili* dźwięk znów się pojawił. Było tak, jak sądziła. Brzmiał jak zawodzące cicho zwierzę. Pomyślała od razu o sidłach zastawianych ostatnio w le-

się ojca. Czy to zwierzę, które wpadło w taką pułapkę? Nigdy nie podobał jej się ten sposób polowania. Zwierzęta musiały okropnie cierpieć w sidłach, wiedziała, że wiele z nich odnosiło w ten sposób okropne rany. Może to Aslak Sorensen zastawił pułapkę? Ojciec powiedział, że zniknął. Nie mógł więc doglądać swoich sideł.

Stała, rozglądając się i jednocześnie próbując znaleźć miejsce, skąd dobiegał głos zwierzęcia. Zwróciła wzrok na szczyt zbocza. Sądziła, że to tam musi się znajdować.

Niechętnie wpatrywała się w górę. Ciężko będzie wdrapać się na strome zbocze, bo śnieg był tam głęboki, ale musiała dowiedzieć się, co tak skowyczy.

Odłożyła nóż do kosza i uniosła spódnicę. Zdecydowała się wejść na stok po skosie. Ta droga była dłuższa, lecz mniej stroma.

Jak przypuszczała, śnieg był głęboki i wkrótce sięgał uniesionych spódnic.

W połowie drogi *zatrzymała*, się, by złapać oddech. Plecy miała mokre od potu. Przez chwilę stała całkiem spokojnie i nasłuchiwała.

Ledwie słyszała teraz pisk, ale przypuszczała, że zwierzę nie znajduje się daleko. Zerknęła na zbocze. Nie zostało już wiele do przejścia.

Kiedy dotarła na szczyt, spróbowała otrząsnąć spódnicę ze śniegu, lecz na nic się to nie zdało. Będzie musiała prędko wrócić do domu, żeby się przebrać.

Ostrożnie zrobiła parę kroków naprzód, w stronę ściany świerków. Zwierzę przestało już skomleć, nic więcej nie słyszała. Może ją zwietrzyło i się przestraszyło.

Brnęła dalej w śniegu, rozglądając się wokół. Nic też nie widziała.

Czekała z nadzieją, że zwierzę znów się odezwie, lecz wokół panowała cisza. Nie mogła nic zrobić. Nie widziała też tropów żadnego zwierzęcia.

Już miała zawrócić, kiedy nagle się *zatrzymała*. Czyżby usłyszała ciche szczeknięcie?



Zmrużyła oczy, przyglądając się drzewom. Zabrzmiało kolejne, wyraźniejsze. Pies! Słyszała głos psa.

Serce zaczęło jej bić mocniej, próbowała biec. - Słyszałam, jak szczekasz - mówiła, chcąc, by pies ją usłyszał. Chyba musiał być ranny, skoro skomlał? Może było tak, jak się obawiała - może pies wpadł w jedną z pułapek Serensena?

Brodziła przez śnieg, a pies nadal czekał, choć już słabiej.

Wtedy go zobaczyła. Leżał na ukos od niej, obok świerku. Jedna łapa utkwiała w czymś, co musiało być przymocowaną do drzewa pułapką na lisy. Pies, w którym rozpoznała kundla Aslaka Sorensena, ledwo uniósł na jej widok głowę, ale po chwili znów się położył.

Serce jej płonęło, gdy podeszła do biednego stworzenia, a w gardle wzbierał płacz. Cieme, błyszczące psie oczy patrzyły na nią, błagając pomoc, i widziała, jak bardzo zwierzę cierpi. Musiała przełknąć ślinę, kiedy ostrożnie się

do niego zbliżyła, w gardle czuła mdłości. Łapa, która tkwiła w pułapce, pokryta była krwią, wyglądała tak, jakby pies próbował sam sobie ją odgryźć, bo pysk miał również czerwony od krwi. Poza tym musiał długo już tu leżeć - śnieg wokół pułapki był mocno ubity, a za psem leżały odchody.

- Shep - to tak się wabisz, prawda? - powiedziała Abelone cicho, podchodząc do niego. Nie bała się psów, ale wiedziała, że ranny czworonóg może ugryźć. Shep nie sprawiał jednak wrażenia agresywnego. Patrzył na nią jedynie swoim błagalnym wzrokiem. Ledwie uniósł ogon, próbując nim zamerdać.

Uklękła obok Shepa. Ostrożnie wyciągnęła dłoń, dając mu ją do powąchania. Delikatnie ją polizał. Drugą ręką pogłaskała go po czarnobiałym futrze. Shep odpowiedział jej, podnosząc słabo głowę, po czym znów opuścił ją na ziemię. Wystawił język i polizał nieco śniegu. Musiał być spragniony.

- Jak długo tu leżysz? - wymamrotała Abelone, zbliżając się do przedniej łapy, która tkwiła w pułapce. - Widziałam cię wczoraj rano w Gimle - pomyślała głośno, przesuwając palcami po zardzewiałym żelazie, które zatrzasnęło się wokół psiej łapy. Sądziła, że zwierzę leży tak od wczoraj.

Wstała, by rozejrzeć się za gałęzią lub innym przedmiotem, którym mogłaby otworzyć sidła. Pobliski świerk wyglądał na przegniły, więc może dałaby radę ułamać z niego gałąź.

Miała szczęście, bo znalazła już złamany konar.

Kiedy wróciła, pies spojrzał na nią zdeorientowany. Ostrożnie wsunęła kij w pułapkę, aby ją rozewrzeć. Shep przyciągnął łapę do siebie, ale gdy jej dotknęła, spostrzegła, że jest bezwładna, jak gdyby była złamana.

Pies spróbował mimo to wstać.

- Już próbujesz stanąć na łapach? - zapytała, ale Shep opadł w głęboki śnieg, piszcząc z bólu.

Abelone spuściła wzrok, czując napływające do oczu łzy. Wiedziała, co zrobiłby ojciec. Prędko dobiłby psa, aby bardziej nie cierpiał. Łapa Shepa i tak pewnie już nie będzie zdrowa. Poza tym wiedziała, że w takiej ranie szybko może pojawić się zakażenie.

Musiała zagryźć usta, nie potrafiła patrzeć na Shepa. Miała z sobą nóż, zostawiła go w koszu przy drodze. Szybko zdołałaby dobić psa, umiała obchodzić się nożem.

*Wstała. Musisz iść po nóż, wrócić tu i dobić psa. Szybko i bezboleśnie, aby więcej nie musiał cierpieć. Musisz zrobić tak, jak zrobiłby ojciec.*

On by się nawet nie zawahał.

Cofnęła się o parę kroków, ale zatrzymało ją słabe szczeknięcie Shepa.

Odwróciła się do niego. Ciemne oczy psa wypatrywały jej wzroku.

*Nie wolno ci mnie opuścić. Nie teraz.* Oczy psa były równie mądre jak spojrzenie człowieka.

Ponownie podeszła do Shepa i pochyliła się.

Przeczesala palcami biala, gesta sierc. Ciało psa rozluźniło się, kiedy zaczęła go poklepywać. -Nie możemy cię tak tu zostawić, co? - powiedziała miękko.

Pies przekrzywił głowę, by na nią popatrzeć i lekko zamerdał ogonem.

Spojrzała przez ramię w stronę zbocza. Czy da radę go znieść? A może powinna pójść po pomoc?

Zdecydowała się spróbować go podnieść. Zawiązała swoją chustę w ten sposób, by Shep mógł się częściowo się na niej opierać, przez co nie powinna tak bardzo odczuwać jego ciężaru.

Wstała, zdjęła chustę, zawiązała na końcach i założyła ją na szyję. Miała nadzieję, że pies pozwoli się podnieść.

- Mogę cię unieść? - zapytała, pochylając się.

Czyżby Shep zrozumiał, co powiedziała? W każdym razie pies spróbował stanąć na trzech nogach, chociaż widziała, jak drży.

Najostrożniej jak umiała wsunęła dłonie pod

jego ciało. Czy się przestraszy? A jeśli ją ugryzie? Trzeba było spróbować, wydawało jej się, że Shep jest jednak spokojnym psem. Już wiele razy miał szansę ją ugryźć, lecz tego nie zrobił.

Szybko pojęła, że ciężko będzie jej zanieść go aż do domu. Może zwierzę da radę pokuśtykać przez część drogi, gdzie śnieg nie był aż tak głęboki? Pies ważył więcej, niż sądziła, ale udało jej się wsunąć chustę pod jego brzuch. Starła się nie dotykać łapy, lecz kiedy spróbowała wstać, kończyła zaklinowała się między jej piersią a ciałem psa. Shep pisnął, jednak uspokoił się, gdy wstała.

- Co, spróbujemy iść? Już teraz wiedziała, że będzie musiała odpocząć przed zejściem na sam dół zbocza. Droga trochę potrwa, a jeśli będzie mieć szczęście, może spotka kogoś, kto mógłby jej pomóc - *musiała* jednak dać radę zanieść go do Gimle, nawet gdyby miało to jej zająć cały dzień.

Ręce bolały ją, kiedy dotarła do skarpy. Naj-

ostrożniej jak umiała ukłękła, usiłując jednocześnie nie przycisnąć ponownie łapy Shepa.

Pies spoczął jej na kolanach. Podrapała go za uchem, gdzie lekko kręcone futro było miękkie jak jedwab. - Twój pan zostawił cię samego w lesie? - zapytała, przypominając sobie dzień, gdy rozmawiała z drwalem. Był opryskliwy i nieprzyjazny, ale jego pies zdawał się być mu oddany. Czyżby Aslak Sorensen wyjechał bez niego? I czy to on zastawił pułapkę, w którą wpadł pies? Nie zdziwiłoby ją to.

Ponownie spojrzała na zbocze i zebrała siły. Nie mogła tak siedzieć w śniegu.

Energicznie wstała i zrobiła pierwsze kroki w dół stoku. Trudno było nieść psa, próbując jednocześnie utrzymać równowagę, ale przystawała co krok i pomagała sobie, przechylając się do tyłu.

Kiedy wreszcie dotarła na dół, była przemoczona od potu. Było jej ciężiej, niż na początku sądziła, ręce miała sztywne i bez sił. Bolał ją również kark.

Usiadła i wyjęła Shepa z chusty. Gdyby nie ona, prawie nie dałaby rady go nieść. Na szczęście ból karku minął, gdy poruszała głową.

Zmieniła pozycję, aby Shep mógł ułożyć łeb na jej kolanach. Musiała się uśmiechnąć. - Dobry z ciebie pies, co? - powiedziała, głaszcząc go po szyi. Coś było w sposobie, w jaki na nią patrzył, miał takie mądre oczy, poza tym okazywał jej zaufanie, jakby wiedząc, że chce mu pomóc.

Siedziała przez chwilę, poklepując psa. Jego futro było miłe w dotyku, a uszy miękkie; zauważyła, że się uspokoił. Przez chwilę pomyślała, że mógłby być jej psem, ale wiedziała, że tak się nie stanie. Poza tym ojciec nie lubił psów. Zgodził się co prawda na to, by Bellmann, pies Ivera, został w Gimle, kiedy Iver i Henny u nich mieszkali, jednak zrobił to jedynie ze względu na Ivera - wiedział, jak smutny byłby chłopiec, gdyby odebrano mu czworonoga.

- Co z tobą zrobimy? - powiedziała zamyślo-



na i oparła policzek o głowę psa. A jeśli Aslak Sorensen nie wróci?

Spojrzała na drogę. Czyżby słyszała w oddali stukot końskich kopyt? Przez chwilę nasłuchiwała. Tak, miała rację.

Jeździec zbliżył się.

Już miała wstać, kiedy spostrzegła go na końcu drogi. Pomyślała, że to musi być Greger Langaard, zarządca majątku Ladefoss. Był przyjazny i silny, może pomógłby jej z psem.

Langaard zwolnił tempa, kiedy ją zobaczył. Z uśmiechem zdjął czapkę i przywitał się. - To pani, pani Ladefoss? W tej samej chwili spostrzegł psa. Od razu zatrzymał konia i zsiadł.

- Usłyszałam go zbierając jałowiec - wyjaśniła.

Pan Langaard spojrzał na nią, kiedy wskazała na zbocze. - Wpadł w pułapkę na lisy.

Twarz zarządcy ściągnęła się. - Tak, pastor Munthe wspominał, że w lasach Gimle grasuje kłusownik. Delikatnie dotknął krwawiącej łapy Shepa. Usłyszała, jak oddech psa przyspieszył.

- Chyba próbował odgryźć sobie łapę - powiedziała spokojnie.

Langaard zerknął na nią. - Sama go tu pani zniosła? - zapytał.

Skinęła głową. - Nie jest aż *taki* ciężki - skłamała.

Zarządca spojrział na nią w zamyśleniu, po czym znów przyjrzał się psu. Z głębokim westchnieniem wstał i zaczął wolno kręcić głową. - Nigdy już nie wyzdrowieje.

Ścisnęło ją w gardle. Z początku też tak pomyślała, ale nie chciała tak łatwo się poddać. Nie teraz, kiedy Shep sam się nie poddał. - Myślałam, że może... Było jej głupio, bo wiedziała, co zarządca ma na myśli. Widziała, że jak większość mężczyzn nosi przy sobie nóż. - Gdyby dobrze się nim zająć, może wyzdrowieje - ciągnęła, starając się, by nie zabrzmiało to jak pytanie.

Langaard zdawał się zastanawiać, po czym pokręcił głową. - Najlepiej będzie zakończyć

jego cierpienia - stwierdził. - Mogę pani obiecać, że nie potrwa to długo. Popatrzył na nią przepaszającym wzrokiem i sięgnął do pochwy noża. - Mogłaby się pani odwrócić?

*Oczy psa.* Widziała, że na nią patrzy, jakby rozumiejąc, o czym mówią, lecz nie potrafiła spojrzeć Shepowi w oczy. Na pewno nie przed podjęciem decyzji. Nie *mogła*.

Potrząsnęła głową. - Nie. Skierowała wzrok prosto na Langaarda. - Miałam nadzieję, że pomoże mi pan zanieść go do Gimle.

Zarządca wyglądał przez chwilę na zdezorientowanego, po czym na jego ustach zagościł delikatny uśmiech. - Ma pani dobre serce, pani Ladefoss - powiedział tonem, którego nie potrafiła zinterpretować. Bała się, że uzna jej zachowanie za głupie, ale przynajmniej schował nóż z powrotem do pochwy.

- Pani Ladefoss właśnie uratowała ci życie, kolego - powiedział radośnie, unosząc psa bez wysiłku.

Abelone podniosła swój kosz. - Mogę poprowadzić pańskiego konia, panie Langaard - powiedziała z ulgą.

Posłał jej uśmiech, potrząsając głową. - Nie zabronię pani pomóc rannemu zwierzęciu.

Widziała, że Shep uspokoił się w ramionach mężczyzny. Przymknął oczy, jakby miał zaraz zasnąć.

Miała nadzieję, że nie nosił też w sobie choroby.

Ojciec początkowo zdziwił się, gdy odkrył Shepa leżącego na kocu na kuchennej podłodze. Później spostrzegła, jak z dezaprobatą ściągnął brwi. Gdyby na miejscu nie było pana Langaarda, na pewno dałby jej reprimendę.

- A więc przyniósł pan psa aż tutaj? - zapytał, zwracając się do zarządcy majątku, który skinął głową.

- Ma pan zdecydowaną córkę, panie Gimle -zachichotał.

Ojciec cicho prychnął. - Dziękuję, wiem -wymamrotał. - Ale, Abelone...- rozłożył z rezygnacją ręce. - On nigdy nie będzie mógł już normalnie chodzić.

Abelone spojrzała na ojca, który posłał Langaardowi oskarżycielskie spojrzenie.

- Ojczy, pan Langaard również twierdził, że psa powinno się dobić, ale ja chciałam przynajmniej spróbować go uratować - wyjaśniła. Nadal mieli jeszcze fenol pozostały po wypadku Erika i mogliby przemywać nim ranę. Abelone miała również bandażę. Nic nie mogła poradzić jedynie na ból. A może mogła? Nagle pomyślała o laudanum, które Erik przyjmował na złagodzenie bólu. Może pies również mógłby z niego skorzystać? Poza tym był spragniony, gdyby naląła kropelkę do miski z wodą, pewnie by ją wypił.

- Abelone, to zwierzę - mruknął ojciec. - Pies Aslaka Sorensena, o ile się nie mylę.

Abelone wstała, ożywiona myślą o lekarstwie, które mogła podać psu. - Mam leki, które otrzymywał Erik - powiedziała ochotczo, zerkając na ojca. Wyraz jego twarzy odebrał jej jednak zapał. Nietrudno było zrozumieć, że niezbyt wierzy w wyzdrowienie psa. - Mogę w każdym razie spróbować - dodała, lecz słyszała, jak cienko brzmi jej głos.

- A jeśli pies wydobrzeje? Sorensen zniknął, a ja nie mam zamiaru trzymać w domu tego potwora.

Ojciec był zgryźliwy, lecz zdecydowała się puścić jego uwagi mimo uszu.

Odwróciła się do pana Langaarda. - Bardzo dziękuję panu za pomoc, panie Langaard. Przepraszam, że pana zatrzymałam.

Zarządca potrząsnął głową. - Wcale mnie pani nie zatrzymała - odparł, choć wydawało jej się, że mówi tak tylko z grzeczności. Pędził galopem, więc na pewno miał do załatwienia jakąś sprawę.

- Mogę zaprosić pana na kawę i małą przekąskę? - zapytała, lecz on pokręcił przepaszająco głową.

- Dziękuję, pani Ladefoss, ale muszę jechać dalej.

Odprowadzili Langaarda do drzwi.

- Mam nadzieję, że wyzdrowieje - powiedział z uśmiechem, podchodząc do konia. - To dobry pies - zawołał wskakując na koński grzbiet, po czym opuścił dziedziniec.

Kiedy wrócili do środka, ojciec posłał jej poirytowane spojrzenie. Bez słowa podążył do swojego gabinetu.

Abelone poszła prędko do kuchni, lecz zatrzymała się, słysząc dobiegający z wewnątrz głos Sofie.

*- To prawda, Bero, powiedziała tak Anna z Kleivan. Jej matka mówi, że na własne oczy widziała tamtej wiosny Abelone nad bagnami, z zawiniątkiem w ramionach...*

*- Sofie! - głos Bery przerwał jej ostro. - Me chcę tego słuchać, rozumiesz!*

Abelone skrzywiła się. Próbowwała nie myśleć o krążących o niej plotkach, choć wiedziała, że wszyscy we wsi o niej mówią. Starła się nie brać tego na poważnie, lecz mimo to dotknęły ją te słowa. Najgorsze, że ktoś twierdził, że ma *dowody* na to, co zrobiła, chociaż tylko sobie to wyobraził. Abelone przypuszczała, że ta osoba nie pojmuje, jak wielką krzywdę może wyrządzić takie oczernianie.

- *Przepraszam, Bero* - powiedziała Sofie słabiej, gdyż nieczęsto Berze zdarzało się tak ostro do kogoś odezwać.

Abelone weszła do kuchni. Spostrzegłszy ją, Sofie odwróciła wzrok, zarumieniła się i szybko zaczęła zbierać stojące na kuchennej ladzie naczynia. Bera usiadła wolno na stołku, po czym pogładziła się po siwych włosach, tradycyjnie splecionych na karku w węzeł. Abelone spojrzała na nią zmartwiona. Już rano zauważyła jej bladą, zmęczoną twarz. I czyżby teraz widziała w jej oczach łzy?



Kiedy Bera ją spostrzegła, na jej ustach pojawił się delikatny uśmiech.

- Tak, Abelone, tak - powiedziała, spoglądając na psa. - Odziedziczyłaś po matce dobroć.

Abelone zwróciła uwagę na drżący głos Bery, starała się też nie patrzeć w jej stronę. Wyjęła również chusteczkę, by wytrzeć oczy.

- Bero? - Abelone podeszła do niej. - Coś się stało? - zapytała ostrożnie.

Bera potrząsnęła prędko głową, starając się uśmiechnąć. - Wcale nie, pomyślałam tylko o Louise. Wiesz, że w pierwszych latach swojego pobytu w Gimle zlitowała się nad małą sarenką, która straciła matkę. Karmiła ją przez całą wiosnę i lato, a później wypuściła ją do lasu. Bera schowała chustkę w rękawie sukni. - Ale ona dalej przychodziła, przyzwyczaiła się do tego, że dostawała od niej jedzenie.

Abelone czuła, że Bera mówi tylko po to, by nie zdradzić prawdziwego powodu swoich zmartwień, ale chyba wiedziała, co nim jest.

W ciągu ostatnich dni stara służąca zbyt wiele doświadczyła. Najpierw pogłoski o okropnym czynie Mariniusza, później choroba dzieci.

Nic dziwnego, że miała dość.

Abelone pogłaskała brzuch Shepa. Kazała Hilmarowi zrobić dla niego kojec, który mógłby stać w kuchni. Uważnie przemyła łapę psa fenolem, zwierzę wypilo też sporo wody, do której dodała parę kropel laudanum. Erik spał po kroplach bardzo dobrze, a psu również zdawały się one pomagać. Leżał teraz na boku z zamkniętymi oczami. Oddech miał spokojny. Nic nie zjadł, chociaż wystawiła przed nim miskę z pokrojonym mięsem i chlebem, ale może będzie chciał, kiedy się obudzi. Najważniejsze, że pił.

Podeszła do niej Sofie. - Jak z nim? - szepnęła.

Abelone wstała. - Właśnie zasnął. Pies leżał

całkiem spokojnie, gdy przemywała mu rany, choć pewnie bardzo go to bolało. Przypuszczała, że to nie pułapka na lisy zadała mu największe obrażenia, lecz on sam, gdy próbował odgryźć sobie łapę.

Odwróciła się słysząc wchodzącego do kuchni ojca. Nic nie powiedział, obrzucił jedynie Shepa ponurym spojrzeniem. W ciszy usiadł, a Sofie prędko naląła mu kawy.

- Ten pies zniknie z tej kuchni, jak tylko stanie znów o własnych siłach - mruknął, popijając kawy.

Abelone uśmiechnęła się z ulgą. Ojciec zgodził się przynajmniej na to, by Shep na razie został.

Naląła szklankę wody i wypila. Musiała zebrać więcej gałęzi jałowca. Jeśli się pośpieszy, zdąży przed obiadem.

- *Muszę wam coś powiedzieć.*

Wszyscy odwrócili się do drzwi, w których pojawiła się Bera. Abelone od razu zauważyła

drzenie jej dłoni zaciśniętej na chustce. Twarz miała bladą, a oczy błyszczące i przestraszone. Ta niewysoka kobieta wydawała się też bardziej przygarbiona niż zwykle.

- Tak mi przykro, Abelone - powiedziała Bera, próbując powstrzymać płacz.

Abelone podbiegła do niej i objęła jej wąskie ramiona. - O co chodzi, Bero? - zapytała dezorientowana. Bera nigdy się tak nie zachowywała. Czy coś stało się z dziećmi? Może się im pogorszyło? Bera właśnie u nich była. - Dlaczego jest ci przykro?

Bera nie powiedziała nic więcej, a Abelone podtrzymała ją w drodze do stołka, na którym kobieta usiadła. Łzy płynęły po pełnej zmarszczek twarzy.

- Tak mi przykro, że ludzie we wsi sądzą, że to ty jesteś matką dziecka z... - jej głos się załamał.

Abelone spojrzała na ojca, który wydawał się równie zdumiony, jak ona.

Usiadła koło Bery, ostrożnie położyła dłoń

jej na ramieniu. - Wiesz, kto był matką dziecka z bagien? -  
zapytała cicho.

Bera pochyliła się i lekko skinęła głową. -Tak. Dopiero po chwili podniosła wzrok. Spojrzenie miała nieobecne, usta jej drżały, a pierś prędko poruszała się w górę i w dół.

- To ja byłam matką chłopca.

Blanche obawiała się wizyty u chłopca, który opiekował się jednym z braci mających zamieszkać w sierocińcu. Jego gospodarstwo należało do najmniejszych w okolicy, a domownicy byli starzy i bezdzietni.

Komisja do spraw ubogich dała jej jasno do zrozumienia, że bracia są trudni, a starszy z nich, którego miała odebrać pierwszego, był tym gorszym.

A jeśli chłopcy nie będą chcieli z nią pójść? Z tego, co zrozumiała, bracia wielokrotnie próbowali ucieczki.

Blanche cieszyła się, że mąż Signe, Solver,

prowadził sanie, ona sama mogła sobie nie poradzić z dwoma rozbestwionymi chłopakami.

Przed sobą ujrzała gospodarstwo. Widziała, jakie jest zaniedbane. Drewna dawno nie smołowano, a budynki gospodarcze rozpadały się. Na podwórzu i wokół budynków leżało poza tym mnóstwo śmieci.

Niewiele wiedziała o braciach, których miała odebrać, Hognem i Thorsteinie. Hogne był starszy, miał siedem lat, a jego brat - pięć. Nikt nie wiedział, gdzie przebywa ich ojciec, niektórzy twierdzili, że wyjechał do Ameryki, ale nikomu nie udało się go odnaleźć. Matka zmarła, gdy Thorstein nie miał jeszcze roku. Nikt nie mógł zająć się chłopcami, więc aż do teraz Hognem opiekowano się w różnych okolicznych gospodarstwach. Jego młodszy brat, odkąd chłopcy zostali sierotami, mieszkał w jednym miejscu u państwa Angelsten. Blanche trochę ich znała, pan Angelsten był znajomym ojca.

Kiedy sanie wjechały na dziedziniec, poczuła

narastającą niechęć. Pomyślała, że starszy brat, w przeciwieństwie do młodszego, miał pecha. Państwo Angelsten mieszkali we wspaniałym majątku nad morzem, a to gospodarstwo musiało podupadać od lat.

Solver zatrzymał sanie i odwrócił się do niej. - Chce pani, abym też wszedł do środka?

Potrząsnęła głową i wysiadła z sań. - Pójdę sama.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi wejściowe. Na próg wyszła niska kobieta w czarnym stroju, białym czepku i chuście zawiązanej na piersi. Musiała mieć nieco ponad siedemdziesiąt lat. Przed nią stał mały, ciemnowłosy chłopiec, to musiał być Hogne. Kobieta trzymała dłoń na jego ramieniu.

Blanche, jak zawsze, poczuła ukłucie w sercu, napotykać spojrzeń dziecka, które miało zamieszkać w sierocińcu. Chłopiec spoglądał na nią czujnym, wrogim wzrokiem, ale nauczyła się już, że na początku dzieci często takie są. Nie



mogła ich też za to obwiniać. Nie wiedziała, w ilu miejscach Hogne mieszkał w swoim krótkim życiu, ale na pewno nie było ich mało. Nic dziwnego, że mógł nie chcieć przenosić się do kolejnego domu, choć jednocześnie wiedziała, że wiele razy uciekał z tego właśnie gospodarstwa. Próbował zabierać z sobą młodszego brata, ale zawsze znajdowano ich i przyprowadzano z powrotem.

Wiedziała, jak istotne jest, by zachowywać się spokojnie i przyjaźnie. Zdarzało jej się widzieć, jak gwałtowni i porywczy bywali pracownicy komisji do spraw ubogich, co musiało przerażać dzieci, i tak zaniepokojone już swoim przyszłym losem.

Blanche wyciągnęła dłoń w stronę kobiety, która popatrzyła na nią smutnym wzrokiem. -To ja jestem pani Bjerkeley - wyjaśniła Blanche z uśmiechem. Dłoń kobiety była bezwładna.

- To jest Hogne - odparła.

Chłopiec zerknął na Blanche, ale po chwili znów spuścił wzrok na swoje znoszone buty.

W tej samej chwili Blanche zwróciła uwagę na mężczyznę, który musiał być mężem kobiety, i właśnie pojawił się w drzwiach. Był to pochylony, starszy mężczyzna chodzący o lasce. Wyglądał nieporządnie, brodę miał rzadką, a włosów pewnie od dawna nie mył. Blanche wyczuwała też unoszący się w domu zapach, przypominający woń zepsutego jedzenia.

Dwojgu starszym ludziom niełatwo musiało być samodzielnie zajmować się gospodarstwem, małżonkowie nie mieli krewnych, a i siedmiolatkowi pewnie trudno było im pomagać. Chłopiec był za mały, poza tym powinien zajmować się nauką i odrabianiem lekcji. Blanche wiedziała, że chodzi do pierwszej klasy.

- Może pani wejdzie? - zapytała kobieta skrzeczącym głosem.

Blanche miała jedynie ochotę zabrać Hognego i pojechać od razu dalej do państwa Angelsten, ale takie zachowanie byłoby niegrzeczne. Poza tym może łatwiej byłoby dla chłopca, gdy-

by najpierw porozmawiała krótko z małżeństwem, u którego mieszkała.

Gdy weszła do środka, ogarnęło ją obrzydzenie. Bałagan był nie tylko na zewnątrz domu, ale także wewnątrz. Było też brudno, pewnie trudno przychodziło im zachowanie czystości.

- Proszę do kuchni - zaprosiła kobieta.

Blanche zauważyła, że Hogne podążyła za nią wzrokiem i uśmiechnęła się do niego. Chłopiec spojrział prędko w bok, ale cieszyła ją ciekawość w jego oczach. Poza tym - nic dziwnego, że wiele razy próbował stąd uciec. Mężczyzna i kobieta wydawali się być mili, ale mieszkać tak, w tym brudzie? Nawet teraz, w grudniu, na parapecie brzęczały muchy.

Blanche usiadła na krześle w kuchni, a kobieta naląła kawy. Kubek nie był umyty, lecz gospodyni zdawała się tym nie przejmować.

Nagle mężczyzna wydmuchał nos. W palce.

Blanche spojrzała na Hognego, który usiadł na stołku pod ścianą. Był ślicznym dzieckiem,

błękitnookim, z twarzą o ładnych rysach. Zdziwiła się też widząc, że chłopiec ma czystą buzię i ręce. Gorzej z ubraniami, które były brudne i znoszone. Na szczęście w sierocińcu mieli dość dobrej odzieży, bo szmat, w których chodził, nie było sensu prać i naprawiać. Line się tym zajmie, wraz z Signe dbała o to, by dzieci chodziły porządnie ubrane.

- Tak, Hogne, będziesz chciał pójść z tą miłą panią do sierocińca? - zapytał chłop, wypijając łyk kawy.

W jego twarzy widziała dobroć, czuła też, że zarówno on, jak i jego żona, chcieli jedynie dobra Hognego. Nie każdemu udawało się zachować wokół siebie czystość, ale nie należało z tego powodu uznawać ich za najgorszych - tego nauczyło Blanche życie.

- Nie wiem - odpowiedział chłopiec, spoglądając w dół.

Blanche zmusiła się, by wypić kawę, lepiej było mieć to za sobą. Prędko zorientowała się,

że ziarna musiano gotować wiele razy, gdyż kawa była cienka i kwaśna.

- Cieszymy się na przybycie twoje i Thorsteina - powiedziała Blanche, uśmiechając się do Hognego.

Chłopiec spojrzał na nią, a na jego twarzy pojawił się cień, po czym bez słowa spuścił wzrok.

Gospodyni pochyliła się nad stołem i pokręciła głową. - Hogne jest małomówny, ale świetny z niego chłopiec.

Staruszkowie przyglądali się dziecku, a po chwili mężczyzna poczochnął mu włosy. Hogne zrobił unik.

- Razem z Thorsteinem będzie wam dobrze w sierocińcu - powiedział.

Rozmowa szła ciężko, a Blanche zauważyła, że chłopiec zaczął być niespokojny.

Wstała, wypiłszy jeszcze jeden łyk. - Chyba musimy już jechać, Hogne. Państwo Angelsten też na nas czekają.

Chłopiec po chwili wstał i wybiegł z kuchni.

- Chyba weźmie swoje *rzeczy* - powiedziała gospodyni, wskazując drogę na piętro. Zatrzymała się pośrodku schodów.

- Nie mogliśmy sobie z nim dać rady, pani Bjerkeley - szepnęła. Twarz miała smutną. - To miły chłopak, ale wie pani, wiele razy uciekał, nie możemy tak dalej.

Blanche potrząsnęła głową, uśmiechając się. - Oczywiście.

Starsza kobieta pogładziła swój brudny czepek. - Jesteśmy już starzy i myśleliśmy, że chłopiec będzie pomocny, ale to nie to samo, co dorosły mężczyzna. Jej oczy błyszczały. - Proszę nie myśleć, że nie chcieliśmy jego dobra. Na jej twarzy zagościł ostrożny uśmiech. - Ale on się tak martwi o swojego braciszka. Chyba dobrze będzie dla niego, że odtąd będą razem.

Blanche skinęła głową. Tak było też z Mathiasem i Amalie. Wiele razy widziała, jak ważne dla dzieci jest, aby po stracie rodziców mogły przebywać ze swoim rodzeństwem. Starsze

1  
dzieci często chciały też opiekować się młodszymi.

- Mogę pani obiecać, że Hogne i Thorstein będą w dobrych rękach - odpowiedziała. W każdym razie postarają się, aby bracia się uspokoili.

Szły dalej po schodach, a później przez ciemny korytarz, aż wreszcie kobieta otworzyła uchylone drzwi.

Blanche nie mogła się bardziej zdziwić. Pomieszczenie było dość duże, lecz chyba tylko ono w całym domu pozostawało czyste i porządne. Łóżko było pościelone, krzesło stało równo przy stole pod oknem. Hogne zaś właśnie zawiązywał swój worek.

- Hogne lubi porządek - szepnęła kobieta, niemal zawstydzona, co uderzyło Blanche.

Podeszła do chłopca i ukucnęła przed nim. - Spakowałeś swoje rzeczy? - zapytała z uśmiechem.

Para błękitnych dziecięcych oczu wpatrywała się prosto w nią. Chłopiec skinął w ciszy

głową, lecz na jego twarzy nie widać było śladu uśmiechu.

Blanche rozejrzała się wokół. - Jak ładnie potrafisz zadbać o czystość w swoim pokoju. Część dzieci, które przychodziły do sierocińca, nie potrafiła zrozumieć, dlaczego muszą utrzymywać porządek, lecz Blanche pojęła, że zaledwie siedmioletni Hogne nie będzie miał z tym problemu.

Chłopiec nadal się nie odzywał, ale Blanche spostrzegła dumny wyraz jego twarzy.

- Gotowy do drogi? - zapytała, czując, że Hogne chce jak najprędzej jechać, gdyż podszedł już do drzwi.

Chłopiec skinął głową. - Thorstein chyba na nas czeka - powiedział z nadzieją w głosie.

Blanche ucieszyła się, że wreszcie przemówił.

Hogne pożegnał się szybko z małżeństwem. Blanche wzięła jego worek z rzeczami i razem podeszli do sań. Solver uśmiechnął się radośnie do chłopca i pomógł mu wsiąść do sań, a na-



stępnie podał mu worek. Nic nie wskazywało na to, że Hogne będzie próbował stawiać opór, tak jak się tego obawiała.

Blanche usiadła obok chłopca. Siedział wyprostowany i patrzył prosto przed siebie.

Miała nadzieję, że pewnego dnia zdobędzie jego zaufanie, lecz wiedziała, że to potrwa.

Oby tylko rany, jakie zadano mu w jego krótkim życiu, nie były zbyt głębokie.

Angelstenowie mieli wspaniałą posiadłość z widokiem na fiord i pobliskie wyspy. Duży, biały dom stał nad cichą zatoczką, na niewielkim wzniesieniu nad plażą.

Wiele lat minęło, odkąd ostatnio rozmawiała z panem Angelstenem, a panią Angelsten знаła jedynie z opowieści. Wiedziała, że nie mają dzieci, ale pani Angelsten była wcześniej zamężna i z tamtego związku miała syna. Chło-

piec w młodym wieku uciekł rzekomo z domu, w każdym razie powiadano, że jego matka bardzo niepokoi się, nie wiedząc, gdzie jest. Niektórzy twierdzili, że jak wielu innych zmarł na morzu, inni uważali, że ma się dobrze w Ameryce.

Powszechnie wiadomo było, że Angelstenowie opiekują się wieloma dziećmi. Blanche miała świadomość, że podopieczni małżeństwa dostawali wszystko, czego im trzeba i pomyślała o gospodarstwie, z którego właśnie wracali. To byli zamożni ludzie, pan Angelsten wybudował przez lata wiele żaglowców, ale po tym, gdy zaczęły je wypierać statki parowe, zainwestował w polowanie na fokę, co przynosiło mu spore zyski.

Sanie zatrzymały się, a Blanche spojrzała na Hognego. - Chcesz ze mną wejść?

Hogne skinął głową. - Tak, Thorstein boi się obcych.

Zsiedli z sań, gdy pan Angelsten wyszedł na schody, by ich powitać.

- Wreszcie pani jest, pani Bjerkeley - powiedział podchodząc do niej z uśmiechem i wyciągniętą dłonią. Ubrany był stosownie do pozycji odnoszącego sukcesy przedsiębiorcy, chociaż nie należał do osób, które obnosiły się swoim bogactwem. Podobnie zresztą było z jego żoną, która również zdążyła wyjść na dziedziniec. Miała na sobie prostą, granatową wełnianą suknię pozbawioną ozdób, z wyjątkiem białego, koronkowego kołnierza. Siwe włosy zaczesała do tyłu i związała w kok na karku, co nadawało jej podłużnej twarzy ostrego i surowego wyrazu. Blanche przypuszczała, że oboje muszą mieć około sześćdziesiątki, ale zdawali się dość różnić. Pan Angelsten był zyczliwy i przyjazny, tak jak go pamiętała, zaś pani Angelsten sprawiała wrażenie bardziej powściągliwej.

Witając się z obojgiem zauważyła, że ich uwagę przyciągał Hogne.

- Tak, Hogne, wygląda na to, że wreszcie dostaniesz to, czego chcesz - powiedział pan Angelsten.

Blanche zerknęła na niego. Uśmiechał się do Hognego pobłażliwie, lecz zwróciła uwagę na sarkazm w jego głosie. Hogne nie odpowiedział, stał jedynie obok niej, wpatrując się w ziemię.

Pani Angelsten zrobiła krok w stronę Blanche i potrząsnęła głową. - Jest pani pewna, że wie, co robi? - zapytała cicho, patrząc na Hognego.

- To uparty chłopak, tak jak jego brat. Zmrużyła oczy osadzone w napiętej twarzy. - Obawiam się, że czeka panią z nimi ciężka przeprawa.

Blanche nie podobało się, że kobieta mówi tak w obecności Hognego. Słyszając, że jest się upartym i nieznośnym, często można się takim właśnie stać. - Jestem pewna, że będzie dobrze

- odpowiedziała Blanche. - Wiem też, że dzieci z sierocińca cieszą się na wasze przybycie -zwróciła się do Hognego.

Pan Angelsten podszedł do chłopca. - No, Hogne, teraz przynajmniej będziesz razem z bratem, tak jak chcesz - powiedział, poklepując go po ramieniu.

Pani Angelsten szła za nim towarzysząc Blanche. - Wie pani, Hognie przychodził tu wiele razy, a dwukrotnie udało mu się zabrać brata z sobą. Zatrzymała się i spojrzała na Hognego, który właśnie wszedł do środka. - Ostatni raz uciekli do lasu, nie myśląc w ogóle, że będzie tam zimno i ciemno, nie mieli też z sobą jedzenia.

- Może tęsknił za młodszym bratem - powiedziała Blanche lekko.

Pani Angelsten posłała jej ponure spojrzenie. - Nie, pani Bjerkeley, nie sądzę, żeby chodziło o coś takiego. Razem z mężem twierdzą, że ci dwaj bracia mają wyjątkowo upartą naturę. Złożyła dłonie. Na twarzy pojawił jej się nabożny uśmiech, lecz spojrzenie pozostało ostre. - Staramy się, by dzieci żyły zgodnie ze słowem Bożym, ale w tym przypadku... Czuję, że mam obowiązek panią ostrzec, pani Bjerkeley. Thorstein jest uparty i mam nadzieję, że wie pani, że chłopiec potrzebuje twardej

ręki, by zachować pokorę, w którą chcielibyśmy ich wdrożyć. Blanche nie miała wątpliwości, że jej rada podyktowana była dobrymi intencjami, ale nie podobało jej się coś w tonie głosu kobiety. Thorstein miał pięć lat. W sierocińcu mieszkało wielu trudnych w obyciu chłopców, lecz byli oni sporo starsi. - Dziękuję za tę uwagę - odparła Blanche, nie chcąc być niegrzeczną.

Pani Angelsten spojrzała na nią poważnie. - Zakładam, że w pani pracy w sierocińcu przykłada pani wagę do solidnego nauczania słowa Bożego?

Blanche nie podobał się sposób, w jaki pani Angelsten jej się przyglądała. - Oczywiście - odpowiedziała. Dzieci otrzymywały chrześcijańskie wychowanie, jakie było dla nich przewidziane, odmawiały modlitwę przed jedzeniem, a co wieczór modlitwę wieczorną. Poza tym chodziły oczywiście do kościoła w niedzielę, a w szkole nauczano je Biblii.

Skierowały się w stronę schodów. - Moim zdaniem ważne jest, by te dzieci, które w wielu przypadkach nie otrzymały żadnego wychowania, miały wokół siebie dorosłych, mogących wyjaśnić im słowo Boże - ciągnęła pani Angelsten. - Tylko w ten sposób mają szansę stać się dobrymi chrześcijanami, którzy później będą pociechą dla społeczeństwa lub, jak mówi Pismo: *Bo Pan uznaje drogę sprawiedliwych, a droga występnych zaginie.*

Blanche zerknęła na nią. Słowa płynęły z jej ust, lecz Blanche bardziej interesował chłopiec, którego miała odebrać. Pani Angelsten nie powiedziała o nim jeszcze nic, poza tym, że jest uparty.

- Dzieci czekają w kuchni - rzekła pani Angelsten, tym razem uśmiechnięta, i wskazała jej drogę do przestronnej kuchni.

Blanche poczuła konsternację. Nie musieli zwoływać wszystkich dzieci tylko dlatego, że miała odebrać Thorsteina.

Pani Angelsten dumnie wyciągnęła dłoń w stronę dzieci, które wyprostowane i ze spuszczonego wzrokiem siedziały wokół dużego kuchennego stołu. - Oto dzieci, pani Bjerkeley.

Prędko naliczyła dziesięcioro - większość chłopców, lecz również kilka dziewczynek. Chłopcy bardzo różnili się między sobą wiekiem, najmłodszy mógł mieć nie więcej niż dwa lata. Wszystkie dzieci były ładnie ubrane, włosy dziewczynek spleciono w warkoczyki, a chłopców krótko ostrzyżono. Żadne z nich nie podnosiło też wzroku, wszystkie siedziały z rękami na kolanach.

Z jednym wyjątkiem. Hogne stał koło chłopca, który musiał być jego bratem. Thorstein zsunął się ze stołka, by objąć Hognego.

W oczach Blanche pojawiły się łzy, kiedy zobaczyła patrzących na siebie z uśmiechem chłopców.

Pan Angelsten chrząknął, a Blanche zauważyła, że jest poirytowany.



- Thorstein, nie pozwoliliśmy ci opuścić miejsca - zbeształ chłopca, ale Thorstein pozostał koło brata.

Pani Angelsten posłała Blanche zrezygnowane spojrzenie. - Sama pani widzi, pani Bjerkeley.

Blanche czuła niepokój i przesunęła wzrokiem po dzieciach siedzących wokół stołu. Wyglądały na przygnębione. A co z najmniejszymi? Trudno musiało im być spokojnie siedzieć, zresztą widziała, jak najmłodsze zaczęło się wiercić.

Pani Angelsten zobaczyła pewnie to samo, bo prędko podeszła do dziecka i położyła mu dłoń na ramieniu. Chłopczyk spojrzał na nią przestraszony, a widząc ostrzegawcze spojrzenie pani Angelsten, od razu spuścił wzrok.

Blanche przełknęła ślinę. Nie podobało jej się to, nie wiedziała, że państwo Angelsten są tacy surowi. Z drugiej strony dzieci zachowywały się nienagannie, a sama wiedziała, z jakimi wyzwaniem wiąże się odpowiedzialność za taką gromadkę.

Zerknęła na Hognego i Thorsteina, a chłopcy spojrzeli na nią, oczekując chyba, że pozwoli im już jechać.

- Może pani usiądzie, pani Bjerkeley? - zapytała pani Angelsten, wysuwając krzesło.

Blanche wiedziała, że niegrzecznie byłoby odmówić, ale miała dobrą wymówkę. - Obawiam się, że musimy niestety jechać. Za godzinę do sierocińca ma przyjechać reprezentant komisji do spraw ubogich i bardzo chciałabym wrócić przed jego przybyciem - przeprosiła.

Pani Angelsten wyglądała na urażoną, lecz uśmiechnęła się. - Oczywiście, nie będziemy pani zatrzymywać.

Zdawała się rozczarowana faktem, że Blanche nie może zostać, ale pogodziła się z tym. Najważniejsze, że Blanche zajmie się teraz Hognem i Thorsteinem.

Podeszła do chłopców i pochyliła się przed nimi. Thorstein miał jaśniejsze włosy od brata,

a na jego nosie widać było trochę piegów, lecz ich oczy miały ten sam wyraźny odcień błękitu. - Spakowałeś się? - zapytała Thorsteina, który spojrzał prosto na nią, nie odpowiadając.

- Jego plecak stoi przy schodach - pośpieszył Hogne z odpowiedzią.

Blanche uśmiechnęła się do nich i wstała. -Chyba musicie się już pożegnać.

Pan Angelsten podszedł do Thorsteina i podał mu dłoń. - Mam nadzieję, że w sierocińcu będziesz zachowywał się lepiej niż tutaj, chłopcze - stwierdził szorstko.

Blanche skrzywiła się. Czy nie mógł powiedzieć nic miłszego? Mimo wszystko chłopiec mieszkał u nich odkąd miał rok i sprawiało jej ból, gdy widziała, jak przestraszonym wzrokiem mały patrzy na mężczyznę. Chłopiec nie odpowiedział, ale wyciągnął dłoń. Mała rączka dziecka zniknęła w dłoni dorosłego.

Blanche dotknęła ramienia chłopca i uśmiechnęła się do niego. - Jestem pewna,

że będzie dobrze, prawda? - odezwała się radosnym i zachęcającym głosem.

Wyprowadziła Hognego i Thorsteina z kuchni, po czym chłopcy prędko pożegnali się z państwem Angelsten.

Małżonkowie wyraźnie odczuwali ulgę z powodu wyjazdu Thorsteina, co dodatkowo kłuło Blanche w sercu.

Jak mógł czuć się pięciolatek, którego nie kochał nikt, poza własnym bratem?

Wcześniej obawiała się, że chłopców trudno będzie z sobą zabrać, ale również Thorstein w ogóle nie protestował. Wręcz przeciwnie, chłopcy wspięli się na sanie i usiedli blisko siebie pod przykrywającą ich owczą skórą.

Blanche zauważyła, jak bracia na siebie patrzą. Poważne, przygaszone dziecięce twarze rozjaśnił uśmiech.

Ostatni raz spojrzała na dom Angelstenów. Dlaczego tak przygnębiał ją widok czarnych okien?

Nic złego nie można było powiedzieć o zachowaniu dzieci, wręcz przeciwnie. Były też ładnie ubrane, ale jej uwagę przykuło co innego.

Nie mogła pozbyć się myśli o czymś, co powiedziała pani Angelsten. Że dzieci potrzebują twardej ręki.

Blanche sądziła, że państwo Angelsten wychowują mieszkające u nich dzieci *zbyt* twardą ręką.

Ulrik wypił szklanekę wody. Czuł się beznadziejnie i doskonale wiedział, dlaczego. Za dużo wypił wczoraj z Johannesem. O wiele za dużo. Najpierw wino, które popijali do posiłku, a później wieczorem również koniak.

Dzisiaj tego żałował. Przecież on nigdy nie przesadzał z alkoholem! Bolała go głowa, miał mdłości i chciał jedynie wrócić do łóżka, by przespać dzień aż do późnego popołudnia.

Opłukał twarz wodą. Miał przed sobą jeszcze kilka godzin do rozmowy z profesorem w szpitalu, ale musiał skończyć pisać artykuł o połu-

dniowoamerykańskich chrząszczach, których zbiór muzeum dostało niedawno.

Wycierał twarz ręcznikiem, kiedy usłyszał dobiegający z dołu dźwięk dzwonka. Zacisnął powieki. Ostatnią rzecz, na jaką miał ochotę, to goście. Mógł powiedzieć Betsy, że nie da rady nikogo przyjąć, ale było za późno.

Po chwili na schodach koło sypialni rozległy się szybkie kroki Betsy, po czym służąca lekko zapukała do drzwi. - Panie Bjerregaard?

Odetchnął głęboko i rzucił okiem na swoje odbicie w lustrze przy toalecie Ellen. Stwierdził, że nie tylko beznadziejnie się czuje, ale tak samo *wygląda*. Cerę miał ziemistą, a oczy opuchnięte. Poza tym brzydko pachniał, chociaż się umył.

*Nigdy* nie będzie już tyle pił.

Otworzył drzwi i spróbował uśmiechnąć się do służącej.

- Panie Bjerregaard, ma pan gościa. To cioteczna babka pani, wdowa Sibylle Eckermann.

Zamknął oczy, czując narastający ból głowy

Te odwiedziny były ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, gdyż wiedział, że ciotka będzie wypytywać o Ellen.

- Panie Bjerregaard? - zapytała Betsy ostrożnie. - Może powiedzieć, że jest pan chory?

Cieszył się, że Betsy jest taktowna, ale zachowałby się żałośnie, gdyby nie porozmawiał z Sibylle, bez względu na to, jak bardzo nie lubił owej kobiety o niewyparzonym języku. - Nie, już idę, Betsy.

Schodząc po schodach czuł przewracającą się zawartość żołądka, lecz starał się zapomnieć zarówno o mdłościach, jak i bólu głowy, kiedy przywitał się z Sibylle i jej gospodynią. Przypuszczał, że gospodyni musiała być swego rodzaju przyjaciółką starszej pani. Zawsze towarzyszyła Sibylle, kiedy ta wychodziła coś załatwić.

- Nie wygląda pan, moim zdaniem, zbyt zdrowo - powiedziała Sibylle bez ogródek po wymianie grzeczności.



Wiedział, że kobieta to zauważy, ale miał przynajmniej nadzieję, że o tym nie wspomni. -To chyba ciężkie przeziębienie - skłamał.

- Ach tak - odpowiedziała Sibylle w zamyśleniu.

Unikał jej wzroku. Na szczęście powstrzymała się od dalszych komentarzy. - Właśnie zmierzam do mojej koleżanki z Homansbyen - ciągnęła, usiadłszy - ale postanowiłam wpaść, by zapytać, jak miewa się moja droga siostrzenica. Uśmiechała się, lecz wzrok miała ostry. - Na szczęście pana zastałam, w przeciwnym razie złożyłabym panu wizytę w najbliższej przyszłości. Wie pan, bardzo martwię się o Ellen i śmiem przypuszczać, że chyba nie bez powodu.

Usłyszał, że coś kryło się w tych słowach, ale nie potrafił domyślić się, co. - Mogę pani powiedzieć, że dzisiaj będę rozmawiał z profesorem ze szpitala - wyjaśnił Ulrik. - Mam nadzieję, że uzna Ellen za wystarczająco zdrową, by mogła wrócić do domu. *Wystarczająco zdrową.*

Po tym, co wczoraj opowiedział mu Johannes, wiele wskazywało na to, że Ellen nigdy nie była umyślowo chora.

- Doprawdy? - odparła Sibylle, siadając na krawędzi sofy, z torebką starannie ułożoną na kolanach. - Cieszę się zatem, ponieważ chciałabym powiedzieć panu coś, co mógłby pan przekazać profesorowi, o którym tyle pan mówi.

Ulrik spojrział na nią z wyczekiwaniem. Zazwyczaj postępował grzecznie i taktownie, ale trudno było mu zachować cierpliwość przy tak złym samopoczuciu.

Sibylle zerknęła na swoją gospodynię, która krótko skinęła głową.

- Panie Bjerregaard, pamięta pan może, jak opowiadałam panu o mojej przyjaciółce, która wielokrotnie przebywała w szpitalu dla obłąkanych?

Ulrik przytaknął. Przyjaciółka Sibylle spędziła rzekomo dużo czasu na oddziale dla kobiet z wyższych sfer, przez co Sibylle utrzymy-

wała, że pobyt Ellen nie ma charakteru rekonwalescencyjnego.

- Tak, pani Eckermann, pamiętam, że pani o tym wspominała.

Sibylle spojrzała prosto na niego, jej twarz pozbawiona była wyrazu. - Mogę panu powiedzieć, panie Bjerregaard, że moja przyjaciółka, pani Berner, znów była w szpitalu, na tym samym oddziale, co Ellen.

Ulrika zaczęło to wszystko nużyć. Jakie znaczenie miało to, że przyjaciółka Sibylle przebywała na tym samym oddziale, co Ellen? - Naprawdę, pani Eckermann? Mam zatem nadzieję, że pani przyjaciółka otrzymała pomoc niezbędną jej, by wyzdrowieć.

Spodziewał się jednej ze zwyczajnych, ostrych ripost Sibylle, ale tym razem kobieta nie powiedziała nic. Poza tym zwrócił uwagę na zmianę wyrazu jej twarzy, oczy Sibylle zaczęły błyszczeć.

Gospodyni położyła dłoń na jej ramieniu, a wdowa musiała wyjąć chusteczkę. - Obawiam

się, że moja przyjaciółka nie zdążyła wyzdrowieć - odparła cicho, wycierając nos.

Ulrik zdziwił się. - Co ma pani na myśli?

Sibylle zerknęła na niego. - Moja przyjaciółka odebrała sobie życie w szpitalu, panie Bjerregaard.

W głowie miał mętlik. Jedna z pacjentek z oddziału Ellen odebrała sobie życie? Wydawało mu się, że przebywają tam tylko spokojne osoby! Źle poczuł się na tę myśl. Czy Ellen o tym wiedziała? Zdziwiłby się, gdyby tak nie było. - A więc mówi pani, że pani przyjaciółka odebrała sobie życie w szpitalu? Sibylle skinęła głową. - Długo była przybita, ale nikt chyba nie sądził, że zrobi coś takiego. Wytarła oczy, po czym się wyprostowała. -Lekarze ze szpitala nie potrafili wyjaśnić panu Bernerowi, dlaczego jego żona popełniła samobójstwo, ale rozmawiał on też z jedną z kobiet pracujących na oddziale. Sibylle na chwilę zamilkła. - Powiedziała mu, że pani Berner

w noc swojej śmierci dzieliła pokój z inną pacjentką. Co więcej, nikt nie słyszał, by kobieta ta wołała o pomoc, kiedy pani Berner wyrządziła sobie krzywdę. Rzekomo na noc zamyka się drzwi.

Ulrik był wstrząśnięty. - Myślałem, że na tym oddziale pacjentki mieszkają osobno - powiedział, ale cieszył się, że Ellen nie mogła dzielić pokoju z tą nieszczęsną kobietą. Profesor Calmeyer zapewniał go, że Ellen mieszka sama.

Sibylle spojrzała na niego z ukosa. - Tak, tak powinno być, ale najwyraźniej tak nie jest.

Ulrik przeczesał włosy. Opowieść Sibylle tylko jeszcze bardziej go zmartwiła. Musi zabrać ją dziś do domu, gdyż coraz bardziej wątpił w to, że szpital jest odpowiednim dla niej miejscem. - Powinniśmy się cieszyć, że to nie mowa o Ellen, ale zapewniam panią, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by Ellen wróciła do domu. Nie wspominał nic o wczorajszej opowieści Johannesesa. Wolał nie mieszać w to Sibylle.

Zmrużyła oczy. - A skąd ta pewność, że to nie Ellen dzieliła pokój z panią Berner?

- Jestem pewien, że profesor Calmeyer by mi o tym powiedział - odparł.

Sibylle wstała i posłała mu wymuszony uśmiech. - Naprawdę mam nadzieję, że moja siostrzenica wkrótce wróci do domu. Szpital to nie miejsce dla niej. Cały czas to wiedziałam.

Ulrik wstał i skinął głową. - Profesor Calmeyer na pewno zgodzi się, że nadeszła już pora, by Ellen wróciła do domu. Początkowo lekarz twierdził, że wystarczy jej tydzień, a teraz przebywała tam już dwa tygodnie.

Pożegnał się z Sibylle i zamknął za nią drzwi. Zmęczony i chory opadł znów na sofę.

Nie był wcale pewien, czy profesor wypuści Ellen.

Ulrik słuchał, jak profesor Calmeyer opowiada o Ellen. Celowo nie wspomniał o opowieści Sibylle, gdyż chciał sprawdzić, czy lekarz sam coś na ten temat powie.

Nie uczynił tego. Twierdził za to, że Ellen ostatnio była dość niespokojna, cokolwiek miało to oznaczać. Profesor mówił dużo o byciu spokojnym, chociaż Ulrik nie był pewien, co przez to rozumie. Ellen *była* spokojną kobietą, nie podnosiła nigdy głosu ani nie awanturowała się.

Zdecydował, że przejdzie do sedna sprawy. -Nie jestem pewien, co ma pan na myśli mówiąc, że moja żona jest niespokojna.

Profesor uśmiechnął się pobłaźliwie, zakładając nogę na nogę. - To zrozumiałe, panie Bjerregaard, ale mogę pana zapewnić, że mamy tu długie doświadczenie w określaniu tego, czy dana pacjentka jest zrównowazona, czy niespokojna. Spoważniał. - Bycie spokojnym może przejawiać się na różne sposoby. Niektóre pacjentki

niewiele mówią, a mimo to źle śpią w nocy, ponieważ odczuwają wielki niepokój. Innym przykładem może być sytuacja, gdy pacjentka nie potrafi dostosować się do panujących tu reguł. Wtedy należy również przypuszczać, że dana osoba będzie mieć problemy w zwyczajnym życiu poza murami szpitala. Mamy też przykłady pacjentek, które pozornie wydają się spokojne, ale w pewnych sytuacjach okazują potężny temperament.

Ulrik wciągnął bezgłośnie powietrze. Nie otrzymał odpowiedzi na swoje pytanie. - Ale w jakich sytuacjach moja żona zachowuje się, pana zdaniem, niespokojnie?

Profesor nie odpowiedział od razu, tylko otworzył teczkę, którą przejrzał, nim najwidoczniej znalazł to, czego szukał. - Pańska żona często miała problemy ze snem, panie Bjerregaard.

Ulrik poczuł narastającą irytację. - Ale to chyba nie powód, żeby nadal tu była?

Lekarz zmrużył oczy. - Rozumiem, że wo-



lałby pan, aby pana żona wróciła do domu, ale naszym zdaniem nie jest jeszcze wystarczająco zdrowa. Sam z nią dziś rozmawiałem i uważam, że powinna tu jeszcze zostać.

Ulrik próbował się opanować. Przerażała go władza tego człowieka. Z drugiej strony znaczenie mogły mieć pieniądze, które wydał na pobyt Ellen w szpitalu. - Mimo to chciałbym, aby wróciła do domu. Miała tu być przez tydzień, a minęły już ponad dwa tygodnie.

Profesor uśmiechnął się sztywno, odkładając dokumenty. - Muszę przyznać, że pana nastawienie mnie zaskakuje, panie Bjerregaard. Miałem nadzieję, że zrozumie pan, iż leczenie, jakiemu poddajemy tutaj pańską żonę, jest dla jej własnego dobra.

Ulrik poczuł, że opada z sił, profesor nie tylko był przekonany o tym, że Ellen musi zostać dłużej, ale również nim manipulował. *Oczywiście*, że chciał, aby Ellen wyzdrowiała! Ale po tym, co wczoraj usłyszał od Johannesesa, zaczął wąt-

pić, czy Ellen kiedykolwiek w ogóle była chora. Dziwne, że wszyscy - Johannes, jego matka oraz kobiety, które przed nimi wynajmowały dom -widzieli dziewczynkę.

Postanowił spróbować innej taktyki. - Profesorze Calmeyer, doszły mnie słuchy, że jedna z pańskich pacjentek niedawno odebrała sobie życie?

Spostrzegł, jak twarz lekarza zeszywniała. -Nie jestem pewien, do czego pan zmierza - odparł.

Ile pacjentek ostatnio popełniło samobójstwo? - Mam na myśli panią Berner - odpowiedział. - Była przyjaciółką ciotecznej babki mojej żony.

Ulrik zobaczył, że profesor poczerwieniał na szyi i musiał poluzować lekko muchę.

- Zakładam, że ma pan świadomość, iż nie mogę wypowiadać się o innych pacjentach -odpowiedział.

Ulrik skinął głową. - Oczywiście, ale wiem,

że pani Berner przebywała w noc swojej śmierci na tym samym oddziale, co moja małżonka oraz że dzieliła pokój z inną pacjentką.

- Tak, niestety tak było i oczywiście się to nie powtórzy. Profesor zerknął na Ulrika, lecz jego wzrok był błędny. - Czasami przyjmujemy więcej pacjentów niż mamy miejsc. Stąd taka sytuacja.

Ulrik spojrział zdenerwowany na lekarza. -Ale zapewniał pan mnie, że Ellen będzie mieć własny pokój!

Profesor skinął głową. - Tak i robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by tak było, ale kiedy już zaistniała taka sytuacja uznaliśmy, że najlepiej będzie wstawić dwa łóżka do pokoju pana żony, który był największy.

Ulrik wpatrywał się w lekarza. Co takiego właśnie powiedział? Słowa kołatały mu się w głowie. - Mówi pan, że to *moja żona* dzieliła pokój z panią Berner?

Lekarz wyglądał przez chwilę na zdezorien-

towanego. - Nie rozumiem, a czy nie pan to powiedział? Ulrik zerwał się na równe nogi, przepełniony wściekłością. - Nie miałem pojęcia, że to moja żona dzieliła pokój z kobietą, która odebrała sobie życie!

Profesor wstał. - Proszę się uspokoić, panie Bjerregaard!

Ulrik miał dość. - Właśnie powiedział mi pan, że moja żona przebywała sam na sam z kobietą, która popełniła samobójstwo i nikt jej nie pomógł! Opadł na krzesło, nie mogąc znaleźć słów.

- Kto panu coś takiego powiedział? - usłyszał pytanie profesora.

Ulrik utkwiał w nim wzrok. - Nawet teraz najbardziej obawia się pan o własną skórę, prawda? - powiedział z zawziętością, wstał powoli i podszedł do biurka. - Bał się pan, że ktoś się o tym dowie, co?

Profesor potrząsnął prędko głową. - Rozumiem, że nie wie pan, jak wygląda codzien-

ność w szpitalu dla obłąkanych, ale mogę pana zapewnić, że samobójstwo pacjenta jest rzeczą dość powszechną.

Ulrik uderzył dłonią w stół. - Nie o tym mówię i pan doskonale zdaje sobie z tego sprawę! Moja żona nigdy nie powinna była dzielić pokoju z tą kobietą, a już na pewno nie zostać pozostawiona sama sobie, kiedy ta odebrała sobie życie!

Profesor siedział spokojnie, nie odzywając się. - Mogę jedynie przyznać panu rację, panie Bjerregaard - powiedział w końcu. - Najmocniej przepraszam, że pańska małżonka została narażona na te nieszczęśliwe okoliczności.

Ulrik był zbyt wściekły, by usiąść. - Tak, *teraz* pan przeprasza! Ale dlaczego mi pan o tym nie powiedział? Miał pan na to dość czasu!

Profesor skinął głową. - Jak wspomniałem, mam nadzieję, że rozumie pan, iż chcemy jedynie dobra pani Bjerregaard. Zerknął na Ulrika. - Obawiałem się, że właśnie to może się stać, gdyby dowiedział się pan, co wydarzyło się tamtej

nocy. Że byłby pan wzburzony i chciał, by pana żona wróciła do domu przed całkowitym wyleczeniem.

Profesor wił się jak piskorz! - Tego może pan być pewien, profesorze Calmeyer. Chcę, aby moja żona wróciła do domu i to jeszcze dzisiaj!

Lekarz potrząsnął zdecydowanie głową. -Obawiam się, że nie mogę panu czegoś takiego obiecać, panie Bjerregaard. Jak już powiedziałem, moja ocena...

Ulrik pochylił się nad biurkiem, musiał powstrzymać się, by nie pogrozić mu palcem. - Żądam rozmowy z moją żoną - powiedział ostro. Miarka się przebrała. - I chcę porozmawiać z nią *teraz*.

Profesor spojrział na niego z powątpiewaniem, po czym krótko skinął głową. - To powinno dać się zrobić, ale musi pan mieć świadomość, że nie zmienię mojej decyzji. Wstał, a twarz miał ściągniętą. - Chyba nie muszę panu przypominać, że tylko ja mogę wypisać pańską żonę?

Ulrik posłał mu gniewne spojrzenie. - Może pan być pewien, że mam tego świadomość, profesorze Calmeyer.

Abelone wpatrywała się w Berę. Co takiego właśnie powiedziała? Usłyszała jej słowa, ale ich nie zrozumiała.

Bera była matką znalezionej na bagnach dziecka?

Nie, chyba się przesłyszała.

W drżącej ciszy Abelone zerknęła na Berę, która nadal siedziała, wpatrując się przed siebie pustym wzrokiem.

*To ja byłam matką chłopca.*

Słowa Bery zaczęły do niej docierać. Nie przesłyszała się.



- Co? - ojciec odezwał się cicho, niemal tracąc oddech.

Bera zwróciła się do Aksela. - Tak właśnie - odpowiedziała prawie bezgłośnie.

Poruszył się na krześle, a oczy miał wielkie ze zdziwienia. - Ale nie rozumiem...

Jego słowa zawisły w powietrzu. Abelone czekała, aż Bera powie coś więcej, przyglądała się jednocześnie twarzy staruszki. To, co powiedziała, *było* prawdą, widziała to w jej twarzy i oczach.

Ale *jak*? Jak Bera mogła wrzucić swoje dziecko do bagna? Wszystko to było tak potworne, że ledwie dawała wiarę. *Bera*? Najserdeczniejsza i najlepsza osoba, którą знаła, która tak bardzo dbała o wszystkich wokół. Kochała też dzieci, zawsze z miłością, niczym kochająca kwoka, przyjmowała nowo narodzone maleństwa.

Jak mogła coś takiego zrobić?

- Chłopiec nie żył, kiedy wrzucałam go

do bagna - powiedziała Bera, prawie dławiąc się wstrzymywanym płaczem.

Abelone spojrzała na bawiące się chustką stare dłonie. Pod cienką, delikatną skórą na ich wierzchu dobrze widziała wystające żyły.

Wyciągnęła rękę, chwyciła dłoń Bery i uścisnęła ją. Nie wiedziała, co sprawiło, że Bera pozbyła się dziecka, ale była pewna, że kobieta nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego, gdyby nie znajdowała się w beznadziejnej sytuacji.

Poza tym zdawała sobie sprawę, dlaczego Bera teraz o tym mówi. Pewnie ciężko było jej patrzeć, jak to ją, Abelone, obwinia się za to, co ona sama zrobiła.

- Może chciałabyś porozmawiać z pastorem? - zapytała Abelone cicho. Z pewnością niełatwo było Berze mówić o czymś, co ukrywała przez dziesięciolecia.

Bera potrząsnęła szybko głową i podniosła wzrok. Był teraz zdecydowany. - Może później, ale nie teraz. Westchnęła głęboko. - Już czas, że-

bym powiedziała, co się wtedy stało - ciągnęła, wpatrując się znów w blat stołu. - Kto by pomyślał, że minie tyle lat - szepnęła.

Abelone zerknęła na ojca. Wyglądał na równie zdumionego, jak ona sama.

- Musicie mi uwierzyć, że nie żył, kiedy... - głos Bery znów zanikł.

Abelone nie wiedziała, co powiedzieć ani co innego powinna zrobić, poza głaskaniem Bery po dłoni. - Oczywiście, że ci wierzymy - odpowiedziała, chociaż wiedziała, że to pytanie trapiło mieszkańców wioski, odkąd ostatniej wiosny 1 znaleziono na bagnach szczątki dziecka. Nie- s pochowanie noworodka w poświęconej ziemi to jedno, a jego stan w chwili wrzucenia do bagna, to co innego. Doktor Greni nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie ani określić, jak długo dziecko leżało w wodzie.

Myśli zaczęły wirować jej w głowie. Co powiedzą ludzie, gdy się o tym dowiedzą? Może wcale nie muszą o tym wiedzieć? Abelone wo-

łała, aby dalej posądzali ją, by nie dowiedzieli się, że to Bera była matką chłopca. *Ona* potrafiła żyć z tymi plotkami, bo miała świadomość, że jest niewinna, ale co z Berą? Gdyby ludzie dowiedzieli się, że to ona? *Oni* na pewno nie uwierzyliby, że chłopiec nie żył. I co z lensmannem? Myśli kłębiły się w głowie, lecz teraz najważniejsze było to, aby Bera wyznała, co leży jej na sercu.

Ojciec chrząknął z drugiej stronie stołu. -Może chciałabyś, abym wyszedł? - miał już wstać i dał ręką znać, by Sofie poszła za nim, ale Bera ich powstrzymała.

- Nie, już czas, żebyście wy i wszyscy inni dowiedzieli się, co się wtedy stało.

Aksel usiadł z ociąganiem, Sofie również.

Chwila minęła, nim Bera zabrała głos. - Do dziś nie mogę pojąć, że tego nie rozumiałam -powiedziała w końcu, kręcąc lekko głową.

Znów zamilkła, lecz Abelone wołała się nie wtrącać.

Poruszyła się i ponownie wytarła oczy chustką. - Nie wiedziałam, że jestem w ciąży. Byłam wtedy taka młoda i sądziłam, że przytyłam, bo stawałam się kobietą.

Abelone była zdezorientowana. Co Bera chciała przez to powiedzieć? Nie rozumiała, że będzie mieć dziecko?

Bera westchnęła ciężko i spojrzała na Aksela. - Nawet kiedy twoja matka zapytała, czy spodziewam się dziecka, ja nie rozumiałam - spuściła wzrok. - Może nie chciałam się z tym pogodzić. Ponownie zamilkła.

- Ale... - Abelone nie mogła się powstrzymać. - Kiedy zorientowałaś się, że jesteś w ciąży?

Bera spojrzała na nią. Abelone nigdy nie widziała jej w takim stanie. Twarz miała bladą, oczy przepełnione żalem i bólem. Trudno musiało być tak długo taić prawdę. Niemal nie mogła uwierzyć, że tak bliska jej osoba skrywała tak bolesną tajemnicę. Bo jak można było żyć ze

sobą tak blisko, jak mieszkańcy Gimle, nie wiedząc o czymś takim?

- Zrozumiałam to dopiero, kiedy urodziłam

- odpowiedziała Bera spokojnie.

Abelone wpatrywała się w nią. Jak to możliwe? Chyba musiała pojąć, że jest brzemienna? Chyba nie mogła aż do porodu nosić pod sercem dziecka i nie zorientować się, że ma w sobie inne życie?

- Ale brzuch... - zapytała Abelone. - Chyba musiałś zauważyć, że się powiększył. Nie czułaś ruchów?

Wzrok Bery był nieobecny. - Tak, sama nie mogę tego pojąć, ale tak było.

Abelone starała się zrozumieć. Bera nie wiedziała, że jest w ciąży aż do urodzenia dziecka.

- Ile miałaś lat, kiedy zaszłaś w ciążę? - zapytała ostrożnie.

Bera pogładziła się po włosach, a Abelone spostrzegła, że jej palce drżą. - Tamtego lata skończyłam siedemnaście.

Bera była młoda, a jednak to dziwne, że nie zrozumiała, że będzie mieć dziecko. Chyba musiała czuć jego ruchy? A co z miesięcznym krwawieniem?

- Ledwie stałam się wtedy kobietą - ciągnęła Bera. - Nie wiedziałam o tych sprawach za dużo, nikt mi też wcześniej nic nie mówił. Spuściła wzrok, podbródek i usta zaczęły drżeć.

W kuchni nastąpiła cisza. Abelone próbowała przetrwać słowa Bery, ale staruszka o czymś nie wspomniała. Kto był ojcem dziecka? Nie wiedziała, czy ośmieli się zapytać. Może Bera sama o tym powie? Nawet nie wiedziała, że Bera miała kiedyś sympatię.

- A ojciec dziecka, co on na to? - Sofie spojrzała na Berę szeroko otwartymi oczami. -A może nie powiedziałaś mu o dziecku?

Abelone zerknęła na Sofie. Jej pytanie nie należało do najbardziej taktownych.

- Nikt nigdy nie dowiedział się o chłopcu - odparła Bera cicho. - Uznałam, że tak będzie najlepiej.

- Więc urodziłaś go po kryjomu? - Sofie spojrzała na Berę zaniepokojona.

Bera skinęła głową. - Cały dzień czułam się niedobrze, pokładałam się, ale późnym wieczorem musiałam iść do wychodka. Na chwilę zamilkła. - Nie rozumiałam, że rodzę, dopóki dziecko nie zaczęło ze mnie wychodzić.

Abelone próbowała sobie wyobrazić, jak młoda dziewczyna musiała coś takiego znieść. Na pewno czuła się okropnie. - To musiało być straszne - powiedziała cicho.

Bera spojrzała na nią, a na jej twarzy pojawił się ostrożny uśmiech. - Tak, straszne było, kiedy zrozumiałam, że zaraz urodzę. Nie śmiałam wołać o pomoc. Zdecydowanie złożyła ręce na kolanach. - Ale najgorsze było, kiedy zauważyłam, że chłopiec nie oddycha. Był taki blady, a po chwili wyczułam, że jest taki zimny - Bera zamilkła. - Musiał umrzeć jeszcze w brzuchu.

Wokół stołu znów zapadła cisza. Słyszeć było



jedynie ciche pomruki Shepa, który poruszył się w kojcu, ale nie obudził się.

Abelone spojrzała na ojca, który gładził twarz ze zmęczoną miną. - Potem poszłaś na bagna?

Bera. skinęła głową i wytarła nos. - Nie mogłam zrobić nic innego, Akselu. Nikt nie wiedział, że byłam w ciąży, więc pomyślałam, że nikt nie musi się o tym dowiedzieć. Chłopiec urodził się martwy, ale wzięłam trochę ziemi z cmentarza, którą posypałam miejsce, gdzie go złożyłam. Jakby coś pękło w twarzy Bery. Abelone objęła jej wąskie ramiona. Bera oparła się o nią, cicho płacząc.

Abelone wymieniła spojrzenie z ojcem i Sofie, którzy wstali i wyszli w ciszy z kuchni. Ojciec zamknął drzwi, zostawiając je same.

- Nigdy nie mogłam sobie wybaczyć, że wrzuciłam go do bagna, ale nie wiedziałam, co innego mogę zrobić - płakała Bera. - Po porodzie zawinęłam go w fartuch i szukałam miejsca, gdzie nigdy nikt go nie znajdzie. Wyprostowała

się, wycierając policzki. - Byłam taka słaba, parę razy prawie straciłam przytomność. Wtedy pomyślałam o bagnie. Milczała.

- Musiałaś się bać - powiedziała Abelone cicho. Nietrudno było wyobrazić sobie, jakie to uczucie mieć siedemnaście lat i zrozumieć, że zaraz urodzi się dziecko. Bera musiała być przerażona. A co ona sama zrobiłaby w takiej sytuacji? Nie wiadomo, czy zachowałaby się inaczej. Czy ktoś mógł obwiniać Berę, że nie chciała, by ktoś zobaczył poród? Poza tym nie miała zbyt wiele czasu do namysłu.

Bera skinęła głową. - Byłam wprost struchlała. Wydmuchała nos. Wydawała się silniejsza, gdy już wyrzuciła z siebie to wszystko. - Ale tyle myślałam o moim chłopcu, którego zostawiłam w bagnie. Gdybyś tylko wiedziała, jak wtedy żałowałam, ale nie miałam do kogo się zwrócić.

Abelone spojrzała na nią. Wiedziała, jakie to uczucie urodzić dziecko, które nigdy nie zosta-

wi po sobie śladu, a jedynie wspomnienia. Jej własna córeczka była pochowana na cmentarzu pod wielkim jesionem, ale nikt nigdy o niej nie mówił. Bardzo niewiele wiedziało, że tamtego dnia, kiedy na świat przyszedł Mały Erik, urodziła dwoje dzieci. O narodzinach martwego dziecka się nie mówiło. Zabierano je po cichu i chowano bez błogosławieństwa pastora i bez grobu.

- Myślisz, że teraz jest lepiej, kiedy złożono go w poświęconej ziemi? - zapytała Abelone, myśląc o małym bukietcie kwiatów, który widziała na grobie chłopca po tym, gdy pastor Munthe zadbał, by pochowano go na cmentarzu. Co prawda w niepodpisanym grobie, ale jednak. Zastanawiała się, kto położył kwiaty. Teraz wiedziała.

Bera skinęła głową, a zmarszczki wokół jej oczu wygładziły się. - O tak. Patrzyła przed siebie. - Odzyskałam spokój, którego wcześniej nie odczuwałam. Wiesz, mijając bagno... - pochyliła

się, a Abelone widziała, jak z trudem powstrzymuje łzy. - Nie mogłam znieść myśli, że on tam leży. Poza tym z biegiem lat ta część bagna osuszyła się. Spojrzała na Abelone. - Z jednej strony miałam nadzieję, że wyciągając torf kiedyś znajdą go, a z drugiej chciałam, aby nigdy go nie znaleziono. Sama widzisz, jak się stało. Jej oczy przepełniał smutek. - Tak strasznie mi przykro, że ludzie zaczęli sądzić, że to ty, Abelone.

Pokręciła głową. - Nie myśl o tym, Bero. Wiesz, jednego dnia myśleli, że to służąca lensmanna, a innego, że kobieta z sąsiedniej wioski.

Bera odwróciła wzrok. - Mimo wszystko przykro mi, że tak się stało.

Siedziały w ciszy, aż Abelone zdecydowała się ostrożnie nakierować rozmowę na ojca dziecka. - Ojciec chłopca... - zaczęła. - Nigdy nie byliście parą?

Bera cicho prychnęła. - Nigdy nic między nami nie było - powiedziała, teraz twardym głosem. - Zrobił, co chciał, bez mojej zgody -

zerknęła z ukosa na Abelone. - Wiesz, niektórzy mężczyźni już tacy są.

Abelone rozumiała, co Bera ma na myśli. Została wzięta siłą i zaszła w ciążę.

Nie potrafiła na nią patrzeć, chciała, aby Bera pozostała tą osobą, którą zawsze była. Aby jej historia była taka, jaką Abelone zawsze знаła, bez tej okropnej tajemnicy, którą Bera nosiła w sobie przez lata.

Staruszka dotknęła ramienia Abelone. - Myślisz pewnie, że jestem okrutna - powiedziała drżącym głosem.

- Nie, oczywiście, że nie! - przytuliła Berę, poczuła jej znajomy, miły zapach. Pomyliła się. *Wiedziała*, kim jest Bera, nie była wcale inna, teraz wiedziała po prostu więcej o jej życiu. Bera była tą samą osobą, co zawsze.

Spojrzała prosto w jej niebieskie oczy, które w ciągu ostatnich lat poszarzały. - Ale czy kiedykolwiek ukarano mężczyznę, który ci to zrobił? Pomyślała o Mariniusie, któremu niemal udało

się zrobić jej to samo. A jeśli zaszłaby w ciążę? Przeraziła ją ta myśl.

- Nigdy więcej go nie zobaczyłam - odparła Bera cicho, spoglądając w bok. - Odwiedzał znajomych w sąsiedniej wsi i następnego dnia wyjechał. Odchrząknęła. - Spotkaliśmy się na tańcach, ale nie powinnam była z nim tańczyć. Wiesz, niektórych mężczyzn bardzo łatwo zachęcić.

Abelone rozumiała, co Bera ma na myśli, to samo myślała o Mariniusie. Miała wyrzuty sumienia, chociaż tylko próbowała być dla niego miła. A on źle ją zrozumiał i uznał, że się w nim kocha.

- Nie możesz obwiniać się za to, co się stało - powiedziała Abelone cicho. - Nie miał prawa stosować wobec ciebie przemocy, chociaż z nim zatańczyłaś.

Bera spojrzała na nią. - Nie, może masz rację, a *teraz* to wiem, ale wtedy sądziłam co innego. Myślałam, że się wystawiłam, jak to on określił.

Wściekł się później i mówił, że to moja wina. Powiedział, że to ja go rozochociłam.

Odnajdywała się w historii Bery. Tak samo czuła się, kiedy Marinius próbował ją napastować, ale żadna z nich nie zrobiła nic złego, chociaż mężczyźni usiłowali obarczać je winą za to, że sami nie umieli nad sobą zapanować.

Chyba rozumieli, że nie chcą, kiedy próbowały stawiać opór? Zachowywali się, jakby sądzili, że mają prawo zaspokoić swe żądze tylko dlatego, że zostały rozpalone.

Wprost wściekała się na tę myśl, ponieważ wiedziała, że to samo przeżywa wiele młodych dziewcząt i kobiet. Miała też świadomość, że niejedna z nich, tak jak Bera, zaszła w ciążę. To samo przydarzyło się Martę, służącej z Ladefoss, która w chwili głębokiego zwątpienia próbowała usunąć dziecko, co w końcu przypłaciła życiem.

Abelone spojrzała na Berę i odezwała się. -Bero, *obiecaj* mi, że posłuchasz tego, co mam ci do powiedzenia.

Bera popatrzyła na nią zmieszana. - Co masz na myśli?

- *Nikt* nie musi się o tym dowiedzieć - ciągnęła Abelone zdecydowanie. - Nikt nie wiedział nic do tej pory i nikt nie musi się o tym dowiadywać.

Bera zaczęła kręcić głową. - Nie, Abelone, nie mogę pozwolić, by ludzie nadal myśleli, że to ty jesteś matką dziecka. Co się stało, to się nie odstanie i teraz muszę ponieść karę za swoje czyny.

Abelone spojrzała przeciągle na Berę. - Nie, Bero, plotki wkrótce ucichną. Za tydzień ludzie ze wsi zajmą się czymś innym i po pewnym czasie wystarczy im świadomość, że nigdy nie dowiedzą się, kim było dziecko.

Bera znów pokręciła głową. - Nie, Abelone. Słyszałam, co ludzie mówią o tobie, oni są pewni swego. Nie pozwolę, by w taki sposób szargano twoją opinię.

Abelone nie chciała się poddać. Chwyciła dłonie Bery. - Proszę cię, w każdym razie to



przemyśl. Jedyne ojciec i Sofie coś wiedzą, nie powtórzą nic nikomu, jeśli ich o to poproszę.

Na twarzy Bery pojawił się smutny uśmiech. - Za późno, Abelone. Już wysłałam Hilmara do lensmanna z listem, w którym wszystko opisałam.

Abelone straciła nadzieję.

A więc nie ma już odwrotu.